

Jerzy Edigey

UPARTY MILICJANT

WIELKI SEN 2010

#### W DESZCZOWE POPOŁUDNIE

Nie udał się nam w tym roku październik w Zakopanem. Już cztery dni bez przerwy padał deszcz. Początkowo chcieliśmy przewyciężyć szarugę i wybraliśmy się na spacer Drogą do Białego. Ale po pół godzinie trzeba było zawracać. Przemokliśmy i ubłóciliśmy się od stóp po czubek nosa. Na drugi dzień rznęliśmy od rana do wieczora w brydża. Trzeciego uznaliśmy, że jest „pogoda barowa”. Zaś obecnie siedzieliśmy w obszernym salonie jednego z zakopiańskich pensjonatów lekko skacowani i źli na cały świat.

Panowało ponure milczenie, przerywane tylko falami gwałtownej ulewy uderzającej o okna. Nawet mecenas Mieczysław Ruszyński i jego wieczny adwersarz inżynier Stanisław Koryciński przestali się kłócić. Pułkownik Adam Krzyżewski rysował esy floresy na leżącym przed nim dzienniku. Jak bardzo było nam źle, dowodzi fakt, że obecne w naszym towarzystwie panie także nie miały tematu do rozmowy.

Znałem pułkownika od wielu lat. Poznaliśmy się przypadkowo. Jako reporter sądowy „Expressu Wieczornego”, a później „Kulis”, jeździłem po całej Polsce w poszukiwaniu ciekawych spraw. Często odwiedzałem wtedy Wrocław i tam, w Komendzie Wojewódzkiej MO, natknąłem się pewnego razu na sympatycznego majora, który właśnie prowadził śledztwo w wyjątkowo skomplikowanej sprawie „Szkieletu bez palców”. Taki bowiem kryptonim nosiły akta milicyjne.

Tak zawarta znajomość powoli przerodziła się w przyjaźń. Wprawdzie przestałem się zajmować reporterką i znacznie rzadziej odwiedzałem miasto nad Odrą, ale za to często spotykaliśmy się w Warszawie, gdzie major, a następnie podpułkownik i potem pułkownik - przyjeżdżał służbowo. Zaś każdy październik spędzaliśmy w zazwyczaj słonecznym i ciepłym w tym miesiącu Zakopanem. Po raz pierwszy jesienią 1978 roku pogoda nas fatalnie zawiodła.

Wiedziałem, że Adam jeszcze bodaj jako kapitan, gdzieś przed dwudziestu laty, pracował w Komendzie Stołecznej MO. Został służbowo wysłany do Wrocławia na trzy dni. Tego miasta wtedy w ogóle nie znał. To była prawdziwa miłość „od pierwszego wejrzenia”. Oczarowany pięknem starego piastowskiego grodu, oficer milicji natychmiast poprosił o przeniesienie go do Wrocławia. Warszawa nie bardzo chciała się rozstać ze zdolnym pracownikiem, ale Krzyżewski pokonał wszystkie przeszkody, nawet brak mieszkań we Wrocławiu. Później wielokrotnie proponowano mu powrót do stolicy i odpowiedzialne stanowiska. Zawsze jednak spotykano się z odmową.

Krzyżewski był niewyczerpaną skarbnicą wiadomości. Miał fenomenalną pamięć. Prowadził przecież jeżeli nie tysiące, to setki najrozmaitszych spraw. Pamiętał je chyba wszystkie. Nie raz i nie dwa usiłowałem przyłapać mojego przyjaciela na jakiejś niedokładności. Porównywałem jego opowiadania z aktami sądowymi. Zawsze fakty się zgadzały. A mówił z pamięci, nie posługując się żadnymi notatkami. Co bardzo ważne, umiał opowiadać. Był, jak to się mówi, urodzonym gawędziarzem. Nic więc dziwnego, że teraz spróbowałem, wydawało mi się niezawodnego chwytu, aby rozruszać nasze towarzystwo.

- Adam - poprosiłem - opowiedz coś ciekawego.
- Nie znam niczego ciekawego - odburknął pułkownik.
- Nie wierzę. Za dobrze cię znam - kusilem.
- Wszystko co wiedziałem, wyciągnąłeś ode mnie już dawno.

Jeszcze chyba sporo zostało. K i żyzewski nic nie odpowiedział i nadal zabazgrywał guetc.

- A jeżeli ja pułkownika poproszę - wyrwała się Marysia Zapędowska, nasz pensjonatowy czterdziestoletni pod-lot. Na każdym turnusie w każdym domu wczasowym zawsze musi się znaleźć taki typ kobiety, nadaremnie usiłującej za pomocą szminki, ubioru i zachowania się zatrzymać nieustannie biegnący czas.
- Pięknie prosimy pułkowniku - do Marysi dołączyły się inne panie.
- A dajcie mi spokój - pułkownik machnął ręką jak gdyby opędzał się od jakiejś natrętnej muchy - pójdę się położyć. Może do wieczora przestanie padać.

- To ładnie tak odmawiać kobietom? - zażartowała pani Krysia.
  - Powiedziałem już, że nic nie wiem. Nie męczcie mnie
  - Adam naprawdę się zdenerwował. Gwałtownym ruchem złożył gazetę i schował długopis do kieszeni.
  - Jesteś uparty jak... - chciałem dodać „stary osioł”, ale w porę się powstrzymałem. Bądź co bądź znajdowaliśmy się w towarzystwie osób związanych z nami jedynie przypadkową bytnością na tym samym turnusie w domu wczasowym.
  - ...jak milicjant - podchwycił Krzyżewski - masz rację, że jestem uparty. U nas cenią zarówno upór, jak i wytrwałość. Tylko dzięki uporowi udaje się nam nieraz rozwikływać na pozór zupełnie beznadziejne sprawy. Choćby tę, zabójstwa we wsi Weten, w dawnym powiecie kętrzyńskim. Gdyby nie upór pewnego porucznika, mordercy nadal chodziliby na wolności. A niedużo im brakowało do kodeksowego przedawnienia.
  - Zbrodnia zabójstwa przedawnia się po dwudziestu latach - mruknął Mieciu Ruszyński.
  - Właśnie - przytaknął pułkownik - przestępcom zabrakło zaledwie trzech lat. Przezornie milczałem. Wiedziałem, że jeśli Adam „zaskoczy”, to już swoją historię wyśpiewa aż do końca.
  - Przyznam się szczerze - dorzucił mecenas Ruszyński
  - że nie słyszałem o takiej sprawie. A raczej bacznie śledzę wszelkie ciekawsze wydarzenia z naszej kryminalistyki. To pan pułkownik prowadził śledztwo?
- 7
- Nie. Z Wrocławia do Kętrzyna kawałek drogi. Ale w kołach milicyjnych ta sprawa była dość głośna. Znam ją z opowiadań jednego z przyjaciół z Komendy Wojewódzkiej w Olsztynie. Poza tym cytowana była nawet na pewnej odprawie w Komendzie Głównej. A także nasz milicyjny tygodnik „W Służbie Narodu” opublikował reportaż, o ile sobie przypominam redaktora Tadeusza Brytana. Później sprawdziłem. Naturalnie Adam nie mylił się i bezbłędnie zapamiętał autora artykułu.
- A tymczasem Krzyżewski poprawił się w wygodnym fotelu i już nieproszony

rozpoczął swoim równym głosem:

- Jak wspomniałem, nie prowadziłem tej sprawy ani też nigdy nie miałem w swoich rękach akt śledztwa. Powtarzam to, co zasłyszałem. A także, zastrzegam to od razu, nieco zmieniam nazwiska głównych bohaterów tej tragedii. Przemilczę nazwisko oficera milicji, który swoim uporem przyczynił się do zdemaskowania przestępców. Milicjanci to nie gwiazdorzy filmowi. Im reklama jest niepotrzebna.

- Należy docenić każdą zasługę - wtrącił inżynier Kory-ciński.

- Zapewniam pana, inżynierze, że zasługa tego oficera została odpowiednio oceniona przez jego władze zwierzchnie.

- A inżynier zawsze musi być kontra - Miecio skorzystał z okazji i przygadał swojemu stałemu przeciwnikowi. Ci dwaj zawsze mieli odmienne zdania Jeżeli jeden mówił, że śnieg jest biały, drugi nie omieszkął dodać, że szybko robi się brudny.

## CZARNA OWCA

- Wieś Weten leży - rozpoczął swoje opowiadanie pułkownik Adam Krzyżewski - jak to już zaznaczyłem, w byłym powiecie kętrzyńskim. Dlatego o tym wspominam, że kiedy tam rozgrywały się te tragiczne wypadki, obowiązywał jeszcze stary podział administracyjny kraju. Wieś, obok autochtonów - Warmiaków i Mazurów -zasiedlili po 1945 roku repatrianci zza Bugu. Byli jednak i tacy, którzy przybyli tutaj z Mazowsza, z odległej Kielecczyny lub z Rzeszowskiego. Początkowo pomiędzy ludźmi zebranych z tak różnych stron powstawały najrozmaitsze animozje. Być może rzutowały one na późniejszy przebieg wypadków.

Tupowie przybyli w te strony właśnie z Kieleckiego. Otrzymali ładną, dużą gospodarkę. Rodzina składała się z rodziców i trojga dzieci - dwóch synów, starszego Józefa i młodszego Adama. Jedyna córka nosiła imię Maria. Józef po skończeniu szkoły został gajowym w Nadleśnictwie Bartoszyce. Maria wyszła za mąż za chłopaka z tej samej wsi. A że starzy Tupowie zmarli w latach 1947 i 1949, na gospodarstwie pozostał Adam.

Młody człowiek w 1951 roku ożenił się z Apolonią Se-klak. Początkowo żyli zgodnie i dość dobrze prowadzili duże gospodarstwo. Wkrótce jednak w tym małżeństwie zaczęło się coś psuć. Głównym powodem było chyba to, że Adam coraz częściej

zaglądał do kieliszka, a coraz mniej przykładał się do roboty. Przy wódce Tupa miał szeroki gest. To on zawsze fundował i płacił zarówno za znajomych, jak i za przygodnie poznanych w knajpie. A kiedy brakło pieniędzy na wódkę, wyprowadzał czy to krowę, czy świniaka i sprzedawał za byle grosz. Aby tylko było na dalszą zabawę.

9

Kiedy podchmielony młody człowiek wracał do domu, kto żyw umykał mu z drogi. Adam Tupa upijał się bowiem „na awanturę”.

- Śmiejesz się ze mnie! - potrafił krzyknąć i rzucić się z pięściami na przechodzącego sąsiada czy nawet zupełnie obcego człowieka, którego po raz pierwszy widział na oczy. Był roslim, dobrze zbudowanym mężczyzną i takie spotkania zwykle niemile się kończyły dla Bogu ducha winnych osób.

Po wódce Adam nabierał także innych upodobań. A to wybił kijem jakąś szybę, a to cisnął kamieniem w stado gęsi sąsiada lub wygnał cudze krowy w także cudzą koniczynę. W ten sposób młody człowiek szybko zdobył opinię awanturnika i nieroba. Gospodarka coraz bardziej chyliła się ku upadkowi. Siedem lat trwało małżeństwo Adama z Apolonią. Po siedmiu latach żona miała tego dosyć.

Wyprowadziła się z domu i wkrótce po tym wniosła sprawę o rozwód, który bez większych trudności otrzymała. Po upływie pewnego czasu młoda kobieta związała się z innym mężczyzną, zamieszkałym zresztą także we wsi Weten.

Temu właśnie człowiekowi Adam Tupa przypisywał całą winę za rozlecenie się swojego małżeństwa. W niezbyt wielkiej wsi ludzie stale się spotykają i wkrótce pomiędzy tą trójką rozgorzała prawdziwa wojna. Raz Tupa pobił „uwodziciela” tak, że ten z rozbitą głową przeleżał parę dni. Innego znowu dnia, dysząca zemstą Apolonia goniła przez całą wieś swojego eksmałżonka i wykrzykiwała, że trzymanym w ręku szpadlem „łeb mu rozłupie”.

Adam Tupa po rozwodzie pozostał samotny. Może naprawdę tak kochał żonę, że do innych kobiet go nie ciągnęło? A może po prostu żadna panna nie chciała się wydać za pijaka i utracjusza, a w dodatku rozwodnika?

Gospodarka po starych Tupach popadała tymczasem w ruinę. Adam rozdawał lub rozpożyczał inwentarz żywy i martwy pomiędzy obcych ludzi. Część ziemi leżała odłogiem. Przyzwoite dawne zabudowania: duży dom mieszkalny, obora, chlewy i stodoła groziły teraz zawaleniem. Bogaty niegdyś rolnik, obecnie nie mógł się utrzymać z tej gospodarki i musiał szukać kawałka chleba, wynajmując się za parobka do sąsiadów lub znajdując dorywcze zajęcia w nadleśnictwie.

Adam Tupa co zarobił, to albo zaraz przepijał, albo zanosił do sądu i do adwokata. Rozpoczął bowiem długotrwałe procesy z Seklakami. Poprzysiągł, że zniszczy tę całą rodzinę i puści ją z torbami. Wynajdywał fikcyjne czy urojone krzywdy, jakich od Seklaków doznał, i wnosił coraz to nowe pozwy do Sądu Powiatowego w Kętrzynie. Jeden z braci Apolonii Seklak był księdzem. Tego Tupa zaskarżył o zwrot pieniędzy wyłożonych na kształcenie przyszłego duchownego. Drugiego szwagra, Władysława, oskarżył o przywłaszczenie kilku krów i innego żywego inwentarza. Władysław Seklak miał zawładnąć tymi krowami już po rozwodzie Adama z Apolonią. Procesy ciągnęły się bez końca. Nie było prawie miesiąca, żeby przeciwnicy nie musieli się spotykać w budynku Sądu Powiatowego w Kętrzynie. Gdy Adam przegrywał jedną sprawę, zaraz wytaczał nowe zarzuty.

Trzeba tu jeszcze dodać pewien ważny dla dalszego rozwoju wypadków szczegół. Władysław Seklak nie mieszkał w Wetenie, lecz w sąsiedniej wsi noszącej nazwę Sępopole. Tam zresztą także znano Adama Tupę jak zły grosz. Obie wioski doskonale bawiły się tą wojną między Tupą i Seklakami. Nikt jednak nie podejrzewał, że zakończy się ona aż tak tragicznie.

Adam Tupa coraz częściej odgrażał się swoim wrogom. Pokazywał różnym ludziom tak zwany „obrzyn”, to jest karabin z uciętą lufą i kolbą. Groził, że tą bronią, niestety, ciągle jeszcze dość popularną na wsi, zastrzeli zarówno swoją byłą żonę, jej kochanka, jak i całą rodzinę Seklaków. W 1960 roku doszło nawet do tego, że prokurator powiatowy wszczął przeciwko młodemu człowiekowi postępowanie karne i wydał postanowienie o tymczasowym zatrzymaniu pod zarzutem nielegalnego posiadania broni oraz używania gróźb karalnych.

Droga od postanowienia do zatrzymania okazała się być dość daleka. Czy to ktoś życzliwy zawsze uprzedzał

10

11

Adama Tupe, czy milicja - zajęta innymi, ważniejszymi sprawami, trochę lekceważyła to dochodzenie, dość, że nigdy nie można było zastać Adama w domu, aby wykonać postanowienie prokuratorskie. Tak minęło parę miesięcy.

W styczniu 1961 roku Józef Tupa, brat Adama, gajowy w Nadleśnictwie Bartoszyce, złożył w tamtejszym posterunku milicji zameldowanie, że jego brat został w okresie świąt Bożego Narodzenia zamordowany we wsi Sępopole. Oskarżyciel twierdził również, że tej zbrodni dopuścił się były szwagier Adama, Władysław Seklak, wraz ze swoim szwagrem Józefem Prostonosem.

- Miejscowa milicja - stwierdził pułkownik Krzyżewski - niezbyt się przejęła tym meldunkiem. Tu muszę być krytykiem instytucji, w której pracuję. Uznano, że nie ma nic dziwnego w tym, iż Adam Tupa od świąt Bożego Narodzenia nigdzie się nie pokazuje, bo przecież jest poszukiwany przez prokuraturę. Nie ma sprawy.

Wprawdzie sporządzono odpowiednią notatkę z meldunku Józefa, ale nie podjęto żadnych czynności wyjaśniających. Jedyne może trochę energiczniej zaczęto poszukiwać zbiegłego. Rozesłano meldunki do wszystkich województw i polecono sołtysowi wsi Weten, żeby wyjaśnił, co się stało z Adamem Tupą.

Sołtys niewiele wyjaśnił. Ustalił jedynie, że w dniu 26 grudnia w domu Władysława Seklaka we wsi Sępopole odbywało się wesele jego siostry z Józefem Prostonosem.

Wesele zostało zakłócone nieprzyjemnym incydentem. Kiedy goście bawili się w najlepsze, nagle pod chałupę podbiegł dobrze już podpity Adam Tupa i w paru oknach wybił szyby. Rzucono się w pogoń za awanturnikiem, ale on, korzystając z ciemności nocy, zginął gdzieś w okolicznych zaroślach. Szyby trzeba było zastąpić dyktą i kocami, po czym tak nagle przerwana zabawa rozkręciła się na nowo.

Oświadczył, że od tamtej chwili Adam Tupa już się nie pokazał. Nic dziwnego.

Naraził się tylu ludziom, nie mówiąc o prokuratorze, który przecież

chciał go już przed tym zamknąć. Sołtys dwukrotnie zaglądał do domu zbiega. Stwierdził, że chałupa jest nieza-mieszkana i stoi zamknięta, co jednak nie przeszkodziło dzielnemu przedstawicielowi wiejskiej władzy w wejściu do wewnątrz. W opustoszałym mieszkaniu - za swojej drugiej tam bytności - sołtys znalazł dokumenty osobiste Adama. Mogły one tam być podrzucone, a mogły także znajdować się i przedtem, tylko w czasie pierwszych odwiedzin sołtys ich po prostu nie zauważył. Po wsi, sołtys to przyznaje, krążą najrozmaitsze plotki. Ale ile w nich prawdy, kto to może ustalić?

Nadal więc nie było sprawy i nadal ograniczono się do poszukiwania zbiegłego Adama Tupy. Jego rodzina - brat i siostra - nie ustawiali jednak w naleganiach na wyjaśnienie zagadki zniknięcia ich brata i stanowczo podtrzymywali swoje oskarżenia. Udało się im wreszcie dotrzeć do Komendy Powiatowej MO w Kętrzynie, do pewnego porucznika, który gorliwie zajął się tym doniesieniem. - Ten oficer milicji - ciągnął pułkownik - nazwijmy go po prostu „Kowalskim”, uznał, że jest wysoce nieprawdopodobne, aby Adam Tupa mógł się ukrywać przez przeszło pół roku. I to bez żadnych dokumentów, bo te znajdowały się w posiadaniu milicji, odesłane nam przez sołtysa wsi Weten. Przecież ten człowiek musiał jakoś zarabiać na swoje utrzymanie i gdzieś mieszkać. Wiadomo było, że nigdy „groszem nie śmierdział”. Skąd brał pieniądze potrzebne na codzienne wydatki? Nikt go przecież nie chciałby utrzymywać za darmo. A żadnej pracy ani żadnego zameldowania, bez okazania dowodu osobistego, Tupa nie mógł otrzymać. Czy w gwałtownych oskarżeniach rodziny zaginionego nie kryje się prawda?

Piątego lipca 1961 roku, a zatem w przeszło pół roku po tym, kiedy ostatni raz widziano Adama Tupę żywego, ustalono w Kętrzynie plan czynności operacyjno-śled-czych. Postanowiono przede wszystkim wyjaśnić, co się działo drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. Skąd się Adam Tupa znalazł w Sępopolu i jaki był dalszy przebieg wypadków.

13

W tym celu ekipa milicyjna udała się do wsi Sępopole i rozpoczęła przesłuchiwanie licznych świadków incydentu na weselu. Ludzie przeważnie milczeli, udawali, że



sobie niczego nie przypominają. Wiadomo, wszelkie bójki na weselach to „sprawy honorowe”, do których władze nie powinny się wtrącać. Co zresztą za wesele, żeby się chłopaki trochę nie pobili i żeby krew nie popłynęła z czyjogoś rozbitego nosa? Tak zawsze było i tak zawsze będzie. Po co zaraz mieszać do tego milicję i sąd? Jednakże co nieco udało się porucznikowi Kowalskiemu ustalić.

#### NA W/SI WESELE

Godnie postanowił wystąpić Władysław Seklak wydając za mąż swoją najmłodszą siostrę Jadwigę. Wydawał ją zresztą za przyjaciela, Józefa Prostonosa. Prostonos mieszkał w Weten, z zawodu był kierowcą samochodowym. Pracował w miejscowym POM. Z okazji wesela stu pięćdziesięciokilowy wieprz oraz kilkanaście gęsi i kur musiało się rozstać z życiem. Z Kętrzyna przywieziono przeszło dwieście butelek piwa i kilkadziesiąt litrów wódki. Złośliwi twierdzili, że resztę zapasów alkoholu uzupełniono bimbrem, zaprawionym sokiem z czarnej porzeczki.

Ślub cywilny odbył się parę dni przed tym. Kościelny przypadł w pierwszy dzień Świąt. Na wesele zaproszono przeszło sześćdziesiąt osób. Samych najpierwszych gospodarzy z obu wsi: Sępopola i Weten. Przyszło przynajmniej dwa razy tyle, ale przed nikim drzwi nie zamknięto. Co to, to nie. Mają Seklakowie swój honor. Nie darmo przybyli w te strony aż z dalekiej Rzeszow-szczyzny, gdzie na wiejskich weselach bawi się dwieście luda, albo i więcej.

- Byłego szwagra, Adama Tupę - zapytał porucznik Kowalski - także zaprosiliście? Jakby nie było, to przecież dawny mąż waszej siostry.

- Tego łobuza miałbym zapraszać - oburzył się Władysław Seklak - żeby się upił i narozrabiał? Niedoczekanie jego.

Wesele rozpoczęło się jak tylko państwo młodzi wrócili z kościoła, i zgodnie z tradycją miało trwać trzy dni. Wszystko tak było zaplanowane i wszystko przebiegało zgodnie z tymi ustaleniami. Młodzi tańczyli przy wynajętej muzyce, starsi świadczyli sobie grzeczności za suto zastawio-

14

15

nym stołem. Kto się nieco zmęczył, ten odpoczywał w bocznej izbie lub szedł do

siebie, a po wytrzeźwieniu wracał i bawił się dalej. Zwyczajnie, jak to na weselu. Drugiego dnia wieczorem zabawa była w pełni. Nagle w dwóch oknach poleciały szyby.

Wprawdzie Barbara była po lodzie, a Boże Narodzenie po wodzie, jednak nagłe wtargnięcie chłodu i trzask pękającego szkła nie były zbyt miłym urozmaiceniem weselnej zabawy. Kobiety zaczęły krzyczeć, mężczyźni stłoczyli się przy drzwiach wyjściowych.

- To ten łajdak Adam - krzyknął Władysław Seklak i chociaż był tylko w samej koszuli, bez marynarki, pierwszy wyskoczył na dwór. Za nim wybiegł pan młody, Józef Prostonos. W ślad za nimi inni mężczyźni.

- Jak to było, kiedy wybiegliście na dwór? - zapytał porucznik Władysława Seklaka.

- Co miało być? Śniegu wtedy nie było, na dworze ciemno choć w pysk daj.

Pobiegliśmy z Józefem w jedną stronę. Zdawało się nam, że tam ktoś ucieka. Inni szukali gdzie indziej. Ale zaraz wróciliśmy do domu. Nikogo nie znaleźliśmy. Trzeba było szybko chałupę opatrywać, żeby wesele mogło się dalej odbywać.

- Nikogo nie widzieliście? - upewniał się oficer milicji.

- Nikogo - stanowczo zeznawał właściciel domu.

- A skąd wiecie, że to był Adam Tupa?

- Bo go widziałem, kiedy wybił szybę w oknie. Stał po drugiej stronie i śmiał się, że nam zabawę zerwał.

- Przecież sami mówiliście, że było wtedy bardzo ciemno.

- Ale w domu było widno, a blask padał przez okno na jego twarz. Dobrze, drania, rozpoznałem.

- Co było dalej?

- Co miało być? Okna opatrzyliśmy. Sąsiedzi pożyczyli trochę dykty, to się zabiło dziury po wybitych szybach i powiesiło na nich koce, żeby ziąb nie ciągnął. Kobiety jakoś się uspokoiły. Dopiero następnego dnia, późnym wieczorem, goście się rozeszli.

Przesłuchiwany przez milicję pan młody, Józef Prostonos, potwierdził zeznania szwagra. Wprawdzie sam nie wi-

dział Tupy wybijającego szyby, ale jest absolutnie pewien, że takie świństwo mógł zrobić wyłącznie Adam. On, Prostonos, wybiegł na dwór zaraz za Władysławem. Zdawało się im, że ktoś ucieka drogą. Pobiegli w tamtym kierunku może ze sto metrów, może nieco więcej. Ale nikogo nie dogonili, bo im się nieco nogi plątały. Nic dziwnego po dwóch dniach wesela, gdzie za kołnierz nie wylewano.

Inni goście weselni zasadniczo potwierdzili zeznania obu szwagrów. Dodali, że na podwórzu pobito się wtedy paru młodych ludzi, ale szybko ich pogodzono. To było zresztą pierwszego dnia obchodów weselnych. Później zabawa przebiegała nad podziw spokojnie, co w głównej mierze było zasługą księdza Mariana, brata gospodarza domu. Ksiądz sam pił mniej niż inni i czuwał, aby na weselu panowały zgoda i spokój. Dopiero drugiego dnia wieczorem nastąpił ten przykry incydent z wybiciem szyb przez Adama Tupę.

- Czy ksiądz Seklak był wtedy obecny? - zapytał porucznik.

- Nie. Ksiądz rano drugiego dnia Świąt wyjechał do swojej parafii i więcej nie wrócił

- wyjaśnił sołtys wsi Sępopole, który od początku do końca uczestniczył w zabawie.

- Jak byli wtedy ubrani Seklak i Prostonos? - dopytywał porucznik.

- W mieszkaniu było bardzo gorąco - wyjaśnił sołtys -przecie było moc gości. Aż dziw, gdzie się to wszystko pomieściło. A oni jeszcze nie opuszczali ani jednego tańca i porozbierali się do koszul.

- I tak wybiegli na dwór.

- Wybiegli. Chcieli dać nauczkę temu łobuzowi, co wybił szyby.

- Wyście widzieli, że to Adam Tupa?

- Nie widziałem. Sprawiedliwie poświadczam, że nie widziałem. Ale kto inny by to zrobił? Tylko on. Wiadomo, od lat Tupowie i Seklakowie to najgorsze wrogi w całej okolicy.

- Wyście sołtysie także wybiegli na dwór?

- Nie wybiegłem. Już nie te lata, żebym biegał i przecież jestem sołtysiem. Ale wyszedłem za innymi. Rozglądałem

się na prawo i lewo, nikogo obcego nie zauważyłem. Ci co pobiegli szukać napastnika, wracali pojedynczo albo i po dwóch. Władek Seklak i Józef Prostonos także wrócili.

- Ostatni? Już po innych?

- Może i ostatni - przyznał sołtys. - Tego nie pamiętam. Mówili, że Adama nie znaleźli. Uciekł albo się schował gdzieś w krzaki.

- Później widzieliście jeszcze Adama Tupę?

- Ani wtedy, ani później go nie widziałem - oświadczył sołtys.

W ogóle nikt, zarówno z Sępopola, jak i z sąsiedniej wsi Weten, nigdy więcej Adama Tupy nie widział. Chociaż ludzie zeznawali dość niechętnie i zasłaniaли się brakiem pamięci i tym, że wtedy sobie wypili, wszyscy ten ważny szczegół śledztwa wyraźnie potwierdzili.

Porucznik Kowalski stwierdził, że ludzie nic więcej już mu teraz nie powiedzą i na tym skończył przesłuchiwanie uczestników wesela. Oficer milicji choć stosunkowo młody stażem, miał spore doświadczenie w kontaktach z mieszkańcami wsi.

Doskonale wiedział, że milczący dzisiaj świadkowie znajdują się pod pewną presją opinii publicznej.

Nie wypada przecież jawnie składać niekorzystnych zeznań o człowieku, który ich w tamte święta Bożego Narodzenia tak hojnie ugaszczał. Ani przeciwko Prostonosowi, który wtedy właśnie brał ślub.

Minie trochę czasu i ci sami świadkowie albo dobrowolnie przyjdą do komendy milicji, albo tam wezwani popiszą się znacznie lepszą pamięcią.

- Jak się państwo dowiecie z mojego dalszego opowiadania - powiedział pułkownik Adam Krzyżewski - wkrótce tak się i stało. Nie upłynęły i dwa miesiące, kiedy ludziom zaczęły się rozwiązywać języki. Na razie porucznik miał do przesłuchania innego ważnego świadka. Tego, który wtedy, wieczorem 26 grudnia, towarzyszył Adamowi Tupie w jego zapewne ostatniej drodze.

Tym świadkiem był kolega Adama, Stanisław Przybylak.

## OSTATNIA DROGA

W przeciwieństwie do innych zeznań, milicja uważała, że to, co powiedział Stanisław

Przybylak, jest prawdą. Nie miał on bowiem żadnego powodu, aby cokolwiek ukrywać lub też kogokolwiek chronić. Z Adamem Tupą łączyła go dość luźna znajomość. Pracowali razem w nadleśnictwie przy wyrębie drzewa. Właściwie to Przybylak pracował tam stale, zaś Adam dorywczo, kiedy mu zupełnie brakowało pieniędzy na życie i na wódkę.

Stanisław Przybylak mieszkał w pobliżu wsi Weten. Nie znał on ani Apolonii, byłej żony Adama, ani reszty jej rodziny. Słyszał tylko o nich z opowiadań Tupy, ale nie był zainteresowany w tych rodzinnych sporach swojego kolegi. Przybylak także prawie zupełnie nie znał Józefa Prosto-nosa. Z kierowcą samochodowym zetknął się zaledwie kilka razy i to przypadkowo. Trudno byłoby także stwierdzić, czy ten robotnik leśny był jakoś bardziej zaprzyjaźniony ze swoim kolegą z pracy.

- Wiedziałem - zeznawał Przybylak - że Adam rozszedł się z żoną i żyje samotnie. Nie rozumiałem jego postępowania. Jak mógł zmarnować taką piękną gospodarkę? Przecież jego ojciec uchodził za jednego z bardziej zamożnych gospodarzy w całej okolicy. W kilka lat później Adam często nie miał nawet na kawałek chleba. A w domu i w obejściu tylko gołe ściany.

- Jak to było z waszym spotkaniem w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia? - zapytał porucznik.

- Wiedziałem, że z Adamem jest ostatnio krucho i zaprosiłem go do siebie, a właściwie do rodziców, z którymi razem mieszkam. Przyszedł na obiad.

- Piliście?

18

19

- Jak to w czasie świąt. Butelka stała na stole. Ja wypilem mniej. Adam jak zwykle pociągał często.

- Był pijany?

- Pijany to nie. Ale w czubie miał.

- Odgrażał się swojej byłej żonie i rodzinie Seklaków?

- On ile razy sobie trochę podpił, zawsze o nich wspominał i groził, że ich wykończy. Nieraz tak bywało, więc i obecnie nie przywiązywałem do tych słów większej wagi.

- Co jeszcze mówił?

- Wspominał, że czas byłoby ustatkować się i zmienić życie. Znaleźć sobie drugą żonę i z powrotem wziąć się za gospodarkę. Bardzo to się mojej matce podobało i, jak to bywa z kobietami, zaraz zaczęła go swatać. Wspominała o pewnej naszej kuzynce ze wsi Rożyna. Dziewczyna niebrzydka, pracowita, a i jej ojciec dałby młodym coś na rozkręcenie gospodarki.

- Adam Tupa znał tę dziewczynę?

- Nie. Wiedziałem, że w Rożynie tego dnia ma się odbyć zabawa taneczna, na której kuzynka na pewno będzie. Zaproponowałem, żebyśmy poszli na tę zabawę, to ich ze sobą zapoznam. Tak szczerze mówiąc, nie liczyłem na to, że z tej znajomości wyjdzie małżeństwo. Obawiałem się, że kiedy dziewczyna dowie się całej prawdy o moim koledze, to go nie zechce. Jej rodzice także byliby przeciwni. Ale Adam zapalił się do tej sprawy i postanowiliśmy pójść do Rożyny.

- To daleko od was? - porucznik zadając to pytanie doskonale orientował się w terenie. Przystudiował przed tym szczegółowe mapy tych okolic

- Ode mnie do Weten jest z pół kilometra. Ze dwa trzeba jeszcze dojść do Sępopola, a od niego do Rożyny będzie z półtora kilometra. Razem tak cztery do pięciu kilometrów.

- Kiedy wyszliście od was?

- Zabawa rozpoczynała się o szóstej czy też o siódmej wieczorem. Mieliśmy zamiar przyjść na sam początek. Ale jakoś nam zeszło i wyszliśmy z domu już dobrze po siódmej.

- Kiedy doszliście do Sępopola?

- Nigdzie nie wstępowaliśmy po drodze, chociaż Adam miał na to wielką ochotę. Upłynęło nam ze trzy kwadransy, może godzinka, bo szliśmy wolno.

- Jak to było w Sępopolu?

- Przez wieś przeszliśmy nikogo nie spotykając. Obejście Seklaków leży na samym końcu wsi, trochę z boku od drogi. Już z daleka słyhać było orkiestrę. Cały dom był oświetlony. Dobiegały nas także odgłosy bawiących się ludzi. Wiadomo, jak to na weselu. Adam kiedy to zobaczył, zaraz wpadł w złość. „Bawią się, cholery, a mnie,

szwagra, nie zaprosili. Dałbym ja im zabawę. Za moją krzywdę". Tak się odgrażał. Bluzgał różnymi słowami. Głównie na Władysława Seklaka.

- A wy co na to?

- Pociągnąłem go za rękaw i powiedziałem, żebyśmy szli prędzej, bo się całkiem spóźnimy na zabawę i kuzynka będzie obstawiona przez miejscowych chłopaków. Adam usłuchał i przeszliśmy już koło bocznej drogi prowadzącej do gospodarki Seklaka, kiedy nagle Tupa przystanął i powiedział: „Pójdę tylko zobaczyć, czy tam jest moja żona. Zaraz wrócę". Nie zdążyłem go zatrzymać. Stałem na drodze i patrzyłem w kierunku domu Władysława Seklaka. Widziałem, że Adam poszedł do okna i przez szybę zagląda do środka. Wtedy zacząłem iść wolnym krokiem w stronę wsi Rożyna licząc, że mnie Adam dogoni.

- Idąc widzieliście nadal chałupę Seklaka i waszego kolegę stojącego przed oknem?

- Nie. Wtedy nie mogłem widzieć, bo obejście Seklaków zostało z tyłu.

- Słyszeliście jakąś awanturę?

- Nic nie słyszałem, bo orkiestra grała. W pewnym momencie muzyka zamilkła.

Zaraz też nadbiegł Adam. Zawołał „Uciekaj bo wybiłem im szyby i nas gonią".

Obejrzałem się i widziałem, jak z domu Seklaków wyskoczyli najpierw jacyś dwaj mężczyźni w białych koszulach, a za nimi inni chłopcy. Adam pobiegł prosto drogą w stronę Rożyny, ja przeskoczyłem przez rów i wpadłem pomiędzy rosnące tam krzaki.

20

21

- Czy was gonili lub poszukiwali?

- Mnie nie. Może mnie w ogóle nie zauważyli, a może po prostu wiedzieli, że nie mogłem mieć nic wspólnego z wybiciem szyb. Pewnie gdybym został na drodze, to by mi chłopaki przyłożyli. Jak to w złości. Nie czekałem na to.

- Widzieliście goniących?

- Widziałem. Pierwszy biegł Władysław Seklak. Za nim jeszcze jeden mężczyzna, także w koszuli. Biegli w tym kierunku, gdzie uciekał Adam i wołali „Stój! Stój!"

- A inni?

- Paru pobiegło w przeciwnym kierunku, w stronę innych zabudowań Sepopola.

Kilku pobiegło może z pięćdziesiąt metrów i zawracało.

- To znaczy, że w ostatecznym obrachunku Adama gonilo tych dwóch, Seklak i ten drugi mężczyzna.

- Tylko dwóch. Inni zawrócili.

- Widzieliście dalszy przebieg wypadków?

- Nie widziałem, bo było dość ciemno, a oni już się kawał oddalili od tych krzaków, za którymi się schowałem. Ale słyszałem krzyki. W tym także głos Adama, i jakby się bili. Musieli dogonić Tupę, bo był ciężko ubrany. Miał na sobie kozuch i grube filcowe buty. A oni w spodniach i koszulach. Nie miał szans żeby uciec.

- Długo siedzieliście w tych krzakach?

- Widziałem, jak ci dwaj wracali. Potem muzyka zaczęła znowu grać. Na drodze było zupełnie pusto, wtedy wyszedłem z krzaków i poszedłem w stronę Rożyny sądząc, że tam spotkam Adama.

- Ile mniej więcej czasu upłynęło od chwili kiedy ci dwaj biegli za Adamem - dopytywał się porucznik - do ich powrotu do domu?

- Na zegarek nie patrzyłem. Chyba z dziesięć do piętnastu minut zeszło.

Przesłuchiwani przed Stanisławem Przybylakiem uczestnicy zabawy weselnej podawali zgodnie, że Władysława Seklaka i Józefa Prostonosa nie było w domu najwyżej kwadrans. Kiedy wrócili, od razu wzięli się za uszczelnianie wybitych okien. Zabijano je kawałkami dykty i zawieszano koce.

- Poszliście do Rożyny na tę zabawę?

- Poszedłem. Ale tam Adama nie zastałem. Mówili, że w ogóle nie zaglądał do sali w remizie strażackiej, gdzie ta wieczorynka się odbywała.

- A po drodze niczego i nikogo nie zauważyliście?

- Nie. Było pusto. Zresztą zrobiło się bardzo ciemno. Kilka razy wołałem „Adam, Adam”, ale Tupa się nie odezwał.

- Nie dziwiliście się, że tak nagle znikł?

- Myślałem, że po tej awanturze z wybijaniem szyb odeszła go ochota do zabawy i że zawrócił do swojego domu. Tam zaraz na prawo od drogi do Rożyny odchodzi droga, którą za opłotkami wsi Sepopole można także dojść do Weten. Przypuszczałem, że



Adam poszedł tą drugą drogą.

- Przecież słyszeliście odgłosy bójki. Sami to przed chwilą powiedzieliście. I nie zainteresowaliście się, co się stało z waszym kolegą?

- Oni z Seklakiem i Prostonosem bili się nie raz i nie dwa. Nigdy spokojnie koło siebie nie przeszli. A że ci dwaj szybko wrócili do domu, przypuszczałem, że się skończyło na wymianie paru kułaków.

- Tamtych było dwóch, a Tupa sam.

- Ale Tupa też nie ułomek i bić się umiał. Nigdy w tych dawniejszych bójkach jeden drugiemu większej krzywdy nie zrobił. Wszyscy się do tych zajęć już przyzwyczaili. Byłem pewien, że Adam, jeżeli nawet został trochę poturbowany, to wrócił do siebie.

- Zeznawaliście przed tym - przypomniat porucznik - że Władysława Seklaka w ogóle nie znacie. A teraz twierdzicie, że z dwóch goniących Tupę mężczyzn, jeden był właśnie Seklakiem.

- Z Seklakiem - wyjaśniał Stanisław Przybylak -dziesięciu słów w życiu, nie zamieniłem. Ale nie mogę powiedzieć, żebym nie wiedział jak on wygląda.

Widywałem go często. Czy to w kościele, czy też na wsi na drodze. Trudno się nie spotykać. Widziałem kiedyś jak się bili z Adamem. Tupa wołał na niego „ty złodzieju, oddaj moje krowy”, a Seklak uderzył go pięścią. Adam

22

23

nie został dłużny i także mu dołożył. Potem jakaś kobieta ich rozdzieliła.

- Dawno to było?

- Chyba w lecie 1960 roku. Ze sześć miesięcy przed tamtym weselem.

- Józefa Prostonosa znacie?

- Tego znam lepiej. Jest kierowcą w POM-ie.

- Widzieliście go wtedy, jak gonił Adama?

- Goniło dwóch. Jeden to był Seklak. Drugim mógł być Prostonos.

- Mógł być czy był?

- Nie widziałem twarzy tego człowieka.

- Czy mieli coś w rękach?

- Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że Seklak miał w ręku nóż. Ale nie twierdzę tego z całą pewnością. Co do tego drugiego, nic nie zauważyłem.

- Co było po tym?

- Po zabawie wróciłem do domu. A następnego dnia poszedłem do roboty. Cały tydzień pracowałem w lesie. Dopiero po Nowym Roku znalazłem chwilę wolnego czasu i poszedłem odwiedzić Adama w jego domu. Dom był zamknięty. We wsi mówili, że od świąt nikt już Tupy w Weten nie widział. Wtedy zawiadomiłem o wszystkim brata Adama, Józefa Tupę i jego siostrę. W trójkę poszliśmy do sołtysa. Tam opowiedziałem jak było. Później razem z Józefem poszliśmy na posterunek, milicji. Pan sierżant wysłuchał nas, sporządził notatkę i kazał mi się podpisać.

- Co jeszcze wiecie o tej sprawie?

- Chyba już nic. We wsi dużo na ten temat mówiono. Ale nic konkretnego.

- Co słyszeliście?

- Jedni to się cieszyli, że Adam Tupa gdzieś znikł. Mówili, że nareszcie w Weten i Sępopolu zapanuje spokój i skończą się pijackie rozróbki, których wszyscy mieli dosyć. Opowiadali, że Adama prokurator chciał zamknąć za tego „obrzyna”, a z drugiej strony tak się Tupa Seklakom naraził, że dłużej we wsi nie mógł zostać. Na pewno uciekł w Kieleckie, skąd pochodził i gdzie jeszcze żyli jego krewni. Inni znowu byli przekonani, że z tą rzekomą ucieczką to bujda rozpuszczana przez Seklaków. Adam nigdzie nie zwiął, tylko rodzina byłej żony wyprawiła go na tamten świat. Ja tam nie wiem jak naprawdę było - zakończył swoje zeznania Stanisław Przybylak.

24

25

## KREW NA RĘKACH

Oficer milicji miał rację twierdząc, że trzeba cierpliwie czekać, aż ludziom zaczną się rozwiązywać języki. Należy ich tylko ostrożnie podpytywać. Najlepiej w pojedynkę, żeby nikt postronny nie widział rozmawiających. Taktyka ta przyniosła rezultaty. Wkrótce jeden z miejscowych milicjantów zameldował Komendzie Powiatowej w Kętrzynie, że dowiedział się ważnych szczegółów dotyczących zaginięcia Adama

Tupy.

Oto jeden z gospodarzy w Sępopolu zwierzył się milicjantowi, że na drugi lub trzeci dzień jego syn, będący w tym samym wieku co syn Władysława Seklaka i przyjaźniący się z tym chłopakiem, opowiedział ojcu o rozmowie z przyjacielem. „U nas była na weselu wielka awantura - brzmiała relacja młodego Seklaka - wuj Adam przyszedł wieczorem pod dom i wybił nam szyby. Muzyka przestała grać, baby krzyczały. Ojciec razem z Józkiem Prostonosem pobiegli za wujkiem. Kiedy wrócili, mieli całe ręce aż po łokcie tak zakrwawione, że trzeba było zmieniać koszule.”

Wezwany przez milicję gospodarz ten, chociaż niechętnie, ale potwierdził, że jego syn opowiadał mu to samo o zajściu na weselu. Miał te wiadomości od przyjaciela, młodego Seklaka.

Porucznik zrezygnował na razie z przesłuchiwania syna Seklaka. Był całkowicie przekonany, że chłopak, odpowiednio poinstruowany przez ojca, zaprzeczy i wyprze się swoich słów. Natomiast oficer milicji postanowił ponownie przesłuchać zarówno Władysława Seklaka, jak i Józefa Prostonosa.

- Przecież już mówiłem jak to było - zdziwił się Władysław Seklak, zajmując miejsce naprzeciwko oficera milicji.

- Nie szkodzi. Opowiecie jeszcze raz, a jeżeli trzeba będzie to i więcej razy.

Przesłuchiwany wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie. Mogę gadać. To było gdzieś po godzinie ósmej. Właśnie tańczyłem z Krysią, żoną Macieja Siwka. To mój najbliższy sąsiad. Znajdowaliśmy się koło okna i nagle obsypało mnie szkłem. Podbiegam do okna, wysadzam głowę na dwór, a tu drugie okno poszło. Wtedy zobaczyłem w nim Adama. Ten drań śmiał się, że nam takiego szpasa wyciął. Skoczyłem do drzwi, żeby łobuza złapać. Józek Prostonos za mną. Wybiegamy na dwór, ciemno, nikogo nie widać. Pobiegliśmy drogą w stronę Rożyny, bo zdawało nam się, że tamtędy ktoś ucieka. Nikogo nie znaleźliśmy.

- Jednak długo was nie było? Wszyscy goście opowiadali, że wróciliście dopiero po piętnastu minutach. Reszta tych, którzy także wybiegli domu, dawno była z powrotem.

Przesłuchiwany wcale się nie zmieszał.

- Kiedy nikogo na drodze nie zobaczyliśmy, Józek przeskoczył przez rów i pobiegł przez łąkę w stronę krzaków rosnących nad rzeką. Myślał, że Adam tam się schował. Ale i w krzakach go nie znaleźliśmy.

- Byli tacy, którzy słyszeli różne odgłosy i wrzawę, jakby bójki.

- Myśmy krzyczeli. Prostonos i ja. Klęliśmy takiego syna, ile tylko weszło. Nie powiem, gdybyśmy go znaleźli, dostałoby mu się od nas dobrze. Taką rzecz zrobić, to trzeba być wyjątkowym łotrem. Gdyby przyszedł na wesele i nawet się pobił ze mną czy z Józkiem, to co innego. Ale szyby w oknach wybijać, ludzkie pojęcie przechodzi. Związalibyśmy drania i na drugi dzień odwieźli do Kętrzyna do pana prokuratora. Przecież na Adama już był nakaz wystawiony. Dlatego uciekł.

- Goniliście go z nożem w rękę - stwierdził porucznik. Władysław Seklak nie zaprzeczył:

26

27

- Przyznaję, że wybiegając na dwór po drodze chwyciłem ze stołu jakiś nóż. W tej złości nie zastanawiałem się co robię. Dopiero na drodze zauważyłem, że trzymam w rękę nóż stołowy. Taki z półokrągłym ostrzem. „Stoja-dła”. Tą bronią można tylko kurczaki krajać. Nic bym nią Adamowi nie zrobił, nawet gdybym go tym nożem uderzył.

- A dlaczego po powrocie do domu zmieniliście koszulę?

- Ja zmieniłem koszulę? - zdziwienie, jakby cień przestachu przemknął po twarzy przesłuchiwanego. - Nie przypominam sobie.

- Tak zeznali świadkowie. Wasi weselni goście.

- Kiedy tak mówili, pewnie tak było. Przybijalem do okien dyktę, zawieszałem koce, koszula musiała się pobrudzić i wzięłem czystą. Nie wypada, żeby gospodarz wesela łąził w brudnej.

- To nie było tak - zaprzeczył porucznik - przypomnijcie sobie. Zmieniliście koszulę zaraz po powrocie do domu. Nie wchodziliście do pokojów, gdzie się goście bawili, ale najpierw poszliście do kuchni i tam się przebieraliście.

- Już wiem - Seklak był nadal całkowicie spokojny -wziąłem świeżą koszulę, bo tamta miała rękaw poplamiony krwią.

- Czyją krwią?

- Józka Prostonosa.

- Dlaczego?

- Zapomniałem dodać, że kiedy Prostonos pobiegł przez łąkę w stronę rzeki, wpadł na druty kolczaste. Tam w lecie wypasano krowy i ogrodzono teren drutem. Po ciemku tych drutów nie było widać. Józek wpadł na nie i mocno sobie rękę pokaleczył. Kiedy go stamtąd wyciągałem, poplamiałem sobie koszulę jego krwią. Obaj wtedy musieliśmy zmienić bieliznę. Dałem Prostonosowi swoją koszulę, bo własnej nie miał na zmianę.

Czy rzeczywiście wtedy, w zimie 1960 roku, na pastwisku w pobliżu drogi znajdowały się jakieś druty kolczaste, tego obecnie już nie można było sprawdzić. Może i były? Braki opóźnionego o pół roku śledztwa nie dawały się teraz odrobić. Porucznik zwolnił Władysława

Seklaka, a jego miejsce naprzeciwko oficera milicji zajął Józef Prostonos.

Potwierdzał on przebieg wypadków na weselu, opisany uprzednio przez jego szwagra. Przyznał także, że zaraz za Seklakiem wybiegł na dwór w pogoni za napastnikiem.

- Jestem młodszy i lepiej biegam niż Władek - powiedział przesłuchiwany - toteż od razu go przegoniłem i pierwszy biegłem w stronę Rożyny, bo nam się zdawało, że widzieliśmy jak ktoś tam zniknął za zakrętem.

- Mielście nóż w ręku.

- Nie miałem.

- Widzieli was z nożem w ręku. Was i Seklaka.

- To kłamią - Prostonos stanowczo zaprzeczał tym zarzutom - może Władek go miał? Ja noża nie brałem.

- Dogoniliście Adama Tupę?

- Gonić, tośmy go gonili. Nawet kawał drogi. Ale ani go nie widzieliśmy, ani nie złapaliśmy. Tam pełno krzaków. Mógł się w nich schować i zapewne śmiać się,

patrzac jak go szukamy.

- Biegliscie tylko droga?

- Najpierw droga, a kiedy zorientowalismy sie, ze tam go nie ma, szukalismy na lące nad rzeka. Ale takze go nie znalezlismy.

- Świadczenie zeznaja, ze nie bylo was w domu przez co najmniej pętnaście minut Albo i dluzej.

- Moglo byc i dluzej - przyznal Prostonos - szukalismy i lazilismy po krzakach tak dlugo, az ochlonelismy z pierwszej zlosci. Zimno takze zaczelo sie nam dawac we znaki, bo przeciez bylismy w koszulach, bez marynarek.

- A jednak znalezliscie Adama Tupę. Byli tacy, ktorzy slyszeli odglosy bójki.

Takeście go bili, ze kiedy wróciliscie do domu, obaj mieliscie cale koszule we krwi.

- Adama nie znalezlismy - zaprzeczyl przesluchiwany.

- To gdzie on jest?

- Uciekl gdzieś. Wiedzial, ze tu dluzej nie ma dla niego zycia. Milicja i prokurator go poszukiwali, bo ludziom bronia grozil. Nie ma chyba we wsi czlowieka, ktoremu Tupa by sie nie narazil. Swoja gospodarke doszczętnie zmarno-

28

29

wał. Nie miał z czego żyć. Ostatnio ludzie mu już z łaski dawali po parę złotych na chleb. A i te pożyczone pieniądze przepijał. Z czego mógł je oddać?

- Wróćmy jeszcze do tej waszej, zaplamionej krwią koszuli. Mówicie, że Adama nie znalezliscie. Skąd więc jego krew na waszej koszuli?

- To nie jego krew, to moja. Przeskoczyłem przez rów koło drogi i wpadłem na druty kolczaste. W paru miejscach rękę rozharatałem.

- Pokażcie. Ślady powinny być.

- A są - Prostonos zdjął marynarkę, odpiął guzik i odwinął rękaw koszuli aż do łokcia. Na rękę widać było różne blizny.

Czy jednak były to ślady skaleczenia o drut kolczasty? Mechanik samochodowy, a Prostonos przecież nim był, ma często okazję skaleczenia ręki. Pochodzenie tych blizn było teraz nie do ustalenia.

- Odgrążaliście się nieraz - porucznik próbował innej metody - że z Adamem zrobicie koniec. Biliście się z nim.

- Ja się z nim nie biłem. Seklak także nieraz dostał od niego. Żona Adama, Apolonia, wykrzykiwała na całą wieś, że mu szpadlem głowę rozbije. Bywało, że on któremuś z nas przylał, bywało odwrotnie. Zgody między nami nie było. Przyznaję! Ale myśmy go wtedy nie dogonili.

- A gdzie on jest?

- To już niech panowie z milicji go znajdą. Nie ja.

Dalsze przesłuchanie Józefa Prostonosa nie wniosło niczego nowego. Porucznikowi nie pozostało nic innego, jak zwolnić i tego świadka. Zarówno bowiem Prostonos, jak i Seklak przesłuchiwanymi byli w charakterze świadków.

Obaj mężczyźni, jak i cała rodzina Seklaków pozostawała pod dyskretnym nadzorem milicji. Po tych przesłuchaniach szczególnie aktywne stały się kobiety. Przede wszystkim żona Władysława Seklaka oraz jego siostra, była żona Adama Tupy.

Odwiedzały sąsiadów zarówno w Weten, jak i w Sępopolu i bardzo dużo oraz bardzo chętnie opowiadały o przebiegu wesela Józefa Prostonosa, o wybiciu szyb, a zwłaszcza o tym, że Prostonos poszuku-

jąc napastnika wpadł na druty kolczaste i tak się pokaleczył, że musiał zmieniać koszulę. Nawet starały się wmówić byłym uczestnikom wesela, że powinni sobie przypominać zranioną rękę pana młodego.

Typowe urabianie opinii publicznej. Sprawa nie została jeszcze zakończona.

Seklakowie liczyli się z tym, że milicja będzie ponownie przesłuchiwała uczestników weselnej zabawy. Natomiast sam Władysław Seklak po ostatnim przesłuchaniu mocno stracił na animuszu. Zwierzał się sąsiadom, iż boi się aresztowania.

Oczywiście zawsze podkreślał, że jest niewinny, ale milicja dziwnie się do niego przyczepia i chce mu przypisać sprawę zaginięcia Adama Tupy. Między Seklakiem i jego szwagrem Józefem Prostonosem wybuchły jakieś nieporozumienia, bo ten ostatni w ogóle przestał się pokazywać w Sępopolu. Zresztą wyraźnie unikał wszelkich rozmów na temat zaginięcia Adama Tupy i zaczął stronić od ludzi.

Uważał, że czas gra na jego korzyść. Ludzie pogadają, poplotkują i powoli zaczną

zapominać o zdarzeniach.

O zaginięciu Adama Tupy nie chciał jednak zapomnieć porucznik Kowalski.

Przestudiował ponownie cały zebrany materiał i doszedł do wniosku, że lekkomyślny wybi-jacz szyb musiał paść ofiarą zbrodni, zaś jego zabójcami są Władysław Seklak i Józef Prostonos. Oficer milicji uważał, że dysponuje dostatecznymi dowodami, aby obu podejrzanych osadzić w areszcie. Wtedy mieszkańcom wsi rozwiążą się języki i pryśnie solidarność przestępców. Przestaną zgodnie opowiadać wymyślone przed tym bajeczki i każdy z nich będzie przede wszystkim myślał o ratowaniu własnej skóry.

30

31

NIE MA CIAŁA, NIE MA SPRAWY

Uzbrojony w materiały śledztwa porucznik udał się do prokuratora. Uważał, że z otrzymaniem nakazu tymczasowego aresztowania Seklaka i Prostonosa nie będzie miał większych trudności. Spotkał go jednak zawód. Przedstawiciel prokuratury, po zapoznaniu się z aktami, powiedział krótko, ale stanowczo:

- Nakazu nie podpiszę. Nie ma ciała, nie ma sprawy. Prokurator zacytował starą, klasyczną zasadę prawną.

Była ona znana chyba wszystkim dawnym kodeksom karnym zarówno Europy, jak i innych części świata. Obecnie w polskim prawie karnym ta zasada już nie obowiązuje. Niemniej przywiązuje się do niej i teraz duże znaczenie. Na przykład w Anglii do dziś dnia jest ona obowiązującą normą prawną. Tam nawet istnieje specjalna czynność śledztwa, tak zwane „ogłędziny zwłok”, dokonywane przez specjalnego urzędnika sądowego „coronera”.

Na próżno oficer milicji starał się przekonać prokuratora. Tłumaczył, że zatrzymanie obu podejrzanych jest koniecznością. Przebywając na wolności, ci ludzie wywierają ogromny nacisk na świadków zajścia i w takich warunkach ustalenie prawdy staje się wprost niemożliwe. Zdaniem porucznika wystarczy, aby Seklak i Prostonos znaleźli się pod zamknięciem, a śledztwo od razu zdobędzie bezsporne dowody ich przestępstwa. Obecnie ludzie boją się mówić. „Zabili jednego, zabiją i mnie”. Ten argument niejednemu w Sępopolu i w Weten zamyka usta.



- Nie mogę wydać nakazu zatrzymania - prokurator nie chciał zmienić zdania. - Śledztwo nie rozporządza żadnym, nawet pośrednim dowodem, że Adam Tupa nie żyje. Ustaliło jedynie, że nie mieszka w Weten i nikt go w okolicy nie widział od świąt Bożego Narodzenia. To za mało, aby aresztować poważnego gospodarza i jego szwagra, pracownika POM. Niesłusznym aresztowaniem zrobimy tym ludziom ogromną krzywdę. Natychmiast we wszystkich okolicznych wsiach będą ich uważali za morderców. I choćbyśmy potem nie wiem jak tłumaczyli, że obaj zatrzymani siedzieli najzupełniej niewinnie, piętno morderców przyłgnie do nich na długie lata. To jak z tą anegdotką o skradzionym zegarku. Wszyscy słyszeli, że pan Iks miał coś wspólnego z kradzieżą zegarka. On, czy jemu go ukradli, czy też on ukradł, nikt nie wie. Dla pewności lepiej jednak od Iksa trzymać się z daleka, żeby i nam zegarek nie zginął.

- To nie jest tak - protestował porucznik - bezspornie ustaliliśmy, że ci dwaj pobiegli za napastnikiem. Był nim, co też jest pewne, Adam Tupa. Mamy świadka, który słyszał krzyki Adama. Wiemy, że Seklak i Prostonos wrócili do domu w pokrwawionych koszulach. To przecież wystarczy nawet na proces poszlakowy.

- Śledztwo zostało wszczęte o pół roku za późno! - odpowiedział prokurator. - Gdzie są te koszule? Jakiej grupy krew była na nich? Dlaczego zaraz po otrzymaniu meldunku złożonego przez Józefa Tupe, gajowego z Bartoszyc, nie dokonano oględzin całego terenu, na którym rozgrywały się te wypadki? Wtedy był czas na zabezpieczenie dowodów przestępstwa i może nawet odnalezienia zwłok zamordowanego, jeżeli Tupa został rzeczywiście, jak twierdzi jego rodzina, zamordowany w tę weselną noc.

Prokurator miał rację. Porucznik nie mógł z nim polemizować. Dobrze rozumiał, że miejscowy posterunek MO najwyraźniej zlekceważył otrzymane doniesienie i pozwolił, aby ewentualne ślady przestępstwa zostały zatarte albo przez tych, którzy je popełnili, albo przez sam upływ czasu. Jakże trudno teraz te błędy naprawić.

- Poza tym - dodał prokurator - argumenty użyte przez Prostonosa w jego zeznaniach, że w tej okolicy nie było dla Adama Tupy już życia, są bardzo przekonujące. Zadarł z wieloma ludźmi, gospodarke zmarnował ze szczętem. Ni-

32

33

kogo życzliwego wokół siebie nie miał. A do tego groziło mu zatrzymanie i proces o nielegalne posiadanie broni. Postawcie się, poruczniku, w położeniu tego człowieka. Co byście na jego miejscu zrobili? Czy nie najlepszym wyjściem z sytuacji było pod lada pozorem zniknięcie ludziom z oczu? A pozór jest doskonały. Zginął, bo go rodzina żony „wysłała do aniołków”.

- Uciekł bez żadnych dokumentów? - porucznik próbował przekonać prokuratora. - Ani nie mógł znaleźć pracy, ani się zameldować. To nie wydaje mi się prawdopodobne.

- Nie zapominajcie, poruczniku, że to chłopak z kieleckiego. Tam do dziś dnia większą wagę przywiązują do pokrewieństwa niż do dowodu osobistego. Może całymi latami mieszkać i pracować w jakiejś wsi u krewniaka i pies z kulawą nogą nie zainteresuje się jego papierami.

- Krewni czy powinowaci mogą go trzymać - zgodził się oficer milicji. - Ale „wiedzą sąsiadki kto z kim siedzi”. Takie wiadomości o przybyciu krewniaka rozchodzą się szybko po całej okolicy. Muszą wzbudzić zainteresowanie sołtysa i miejscowej milicji. To dobre na miesiąc czy dwa, ale nie na dłużej. A od zaginięcia Adama minęło przecież przeszło pół roku.

- Pewnie dawno ma już nowe dokumenty. On się w tamtych stronach urodził. Wyrobił sobie metrykę i na tej podstawie zameldował się mówiąc, że mu dowód osobisty ukradli, a potem wyrobił sobie nowy. Za bardzo tam go nie sprawdzali, bo to przecież „swojak”. Nie z takimi cudami nieraz i pan, i ja mieliśmy do czynienia.

- To prawda - przyznał porucznik - ale jestem wewnętrznie przekonany, że ten człowiek nie żyje i ci dwaj są jego zabójcami.

- Być może macie, poruczniku, rację. Ale mnie to nie wystarcza. Ja muszę mieć dowody. A na razie tych dowodów mi nie przynieśliście. Nie ma ciała, nie ma sprawy - powtórzył przedstawiciel prokuratury. - Nie mówię tego w dosłownym znaczeniu. Ale uprawdopodobnijcie mi w jakiś sposób, że ten człowiek nie uciekł, tylko nie żyje. Wtedy podpiszę nakaz zatrzymania tych dwóch, bo

wtedy oni będą rzeczywiście podejrzani o dokonanie przestępstwa. Nie pójdę na ryzyko aresztowania niewinnych ludzi. Wyrządziłbym im krzywdę i musiałbym się bardzo gęsto tłumaczyć przed swoimi władzami z lekkomyślnego postępowania.

- Nie mam osobiście nic przeciwko Seklakowi i Prosto-nosowi - powiedział porucznik - mnie chodzi wyłącznie o to, aby sprawiedliwości stało się zadość.

- Mnie także chodzi o sprawiedliwość - replikował prokurator. - Dlatego muszę chronić wolność ludzi, którym nie możemy udowodnić popełnienia przestępstwa.

- Widzę, że nie przekonam pana prokuratora.

- Chcę wam iść jak najbardziej na rękę, ale nakazu zatrzymania nie podpiszę. Żeby jednak przyczynić się do wyświecenia tej sprawy, wydam list gończy poszukujący zbiegłego Adama Tupę. Taki list jest silniejszym argumentem dla różnych władz administracyjnych i ma większy zasięg niż zwykłe zapytanie milicji o ustalenie pobytu poszukiwanego przez nas człowieka.

- A jeśli i list gończy nie da żadnych wyników?

- To także nie będzie dowodem, że Adam Tupa nie żyje. Niech milicja prowadzi śledztwo w tym kierunku, w jakim pan to uważa za słuszne, ale z pełnym zachowaniem praworządności. Będziecie mieli coś nowego, zawsze chętnie się z wami naradzę i wspólnie ustalimy dalsze kroki postępowania.

Oficerowi milicji nie pozostało nic innego, jak tylko podziękować prokuratorowi za rozmowę, zabrać dokumenty i pożegnać się. Porucznik odczuwał gorycz porażki i jednocześnie nie mógł nie przyznać słuszności przedstawicielowi prokuratury.

Milicja rzeczywiście nie rozporządzała żadnymi dowodami śmierci Adama Tupy.

Poszlaki były zaś bardzo nikłe. Nawet jeżeli się uzna, że świadek Stanisław

Przybylak rzeczywiście słyszał krzyk Adama i odgłosy bójki, to jeszcze nie dowód, że Tupa został wtedy zabity. W tych okolicach nie ma przecież prawie żadnego wesela na wsi, żeby na nim nie doszło do mniejszej czy większej bójki. Trup jednak nie pada tak gęsto, jakby to

się mogło wydawać. Zabójstwa na weselu nie było w Olsztyńskim od lat. I ludzie są obecnie mniej krewcy niż to było zaraz po wojnie, i wzajemne animozje przybyszów z różnych stron kraju jakoś się załagodziły. Powstało nowe społeczeństwo, dla którego pochodzenie przestało odgrywać istotną rolę. Zawiązały się nowe więzi rodzinne i przyjacielskie.

Mimo wszystko porucznik nadal był przekonany, że sprawa wymaga dalszego śledztwa i wyjaśnienia do końca tajemniczego zniknięcia byłego szwagra Seklaków. Oficer milicji zaciął się i postanowił, że za wszelką cenę musi tę zagadkę rozwiązać. Ale jak? Ludzie, czy to zastraszeni przez rodzinę Seklaków, czy też naprawdę nic niewiedzący, milczeli. Porucznik i jego ekipa wielokrotnie przeczesałi cały teren ewentualnej bójki. Niczego nie znaleźli. Czas zatarł wszelkie ślady.

36

#### MOŻE ONI GO UTOPILI?

Jedynym człowiekiem, który zawsze podzielał zdanie oficera milicji, że Adam Tupa padł ofiarą zbrodni, był brat zaginionego, Józef. Przy każdej okazji odwiedzał on komendę MO w Kętrzynie, dopytując się o postępy śledztwa.

- Mnie nie chodzi, panie poruczniku, o zemstę - mówił gajowy. - Sam dobrze wiem, że mój braciszek to był kawał łobuza i lenia. Nieraz dobrze ludziom i mnie samemu zalazł za skórę. Ale niechby miał chrześcijański pochówek i spoczął w poświęconej ziemi, a nie gdzieś jak pies bezdomny...

Porucznik nie krył przed Józefem Tupą swoich niepowodzeń. Tłumaczył mu:

- Nie możemy zatrzymać Seklaka i Prostonosa, bo nie ma żadnych dowodów, że to oni zabili waszego brata.

- Na pewno zabili - upierał się gajowy.

- Ja także przypuszczam, że tak było. Ale nikt nie widział bójki, nikt też nie znalazł ciała zabitego. Człowiek nie szpilka, nie ginie bez śladu. Może Adam rzeczywiście uciekł z tych okolic. Bardzo tu się ludziom naraził. Czekало go zamknięcie za posiadanie broni.

- Tej broni u niego nikt nie znalazł.

- Przyznaję, nie znaleźliśmy jej w obejściu Adama. Ale to nie dowód, że broni nie

miał. Pół wsi Weten, w tym nawet sołtys, widziało broń w rękach waszego brata i słyszało jak on odgrażał się, że tym „obryzmem” zastrzeli swoją byłą żonę i jej przyjaciela.

- Ale ich nie zastrzelił, tylko oni go zabili - Józef Tupa z chłopskim uporem podtrzymywał swoje twierdzenie.

- Nielegalne posiadanie broni jest w Polsce surowo karane. O tym Adam dobrze wiedział i dlatego mógł uciec z tych stron.

37

- To gdzie się podział?

- Przecież macie rodzinę w Kieleckiem. Z tamtej ziemi pochodzicie. Może siedzi gdzieś u jakichś pociotków jak mysz w norze, licząc, że sprawa przyschnie.

Gajowy uśmiechnął się smutnie.

- Krewni Adama - powiedział - są także i moimi krewnymi. Ja również nieraz myślałem, że Adam uciekł do nich. Chciałem to sprawdzić. Na Wielkanoc wziąłem z pracy kilka dni wolnych i pojechałem w nasze rodzinne strony. Odwiedzałem i krewnych, i powinowatych. Przy okazji trafiłem i do takich, których nigdy na oczy nie widziałem i nawet o nich nie słyszałem. Dopiero tam, na Kielecczyż-nie, powiedziano mi, że pochodzimy z jednej rodziny.

- I co?

- Nikt tam o Adamie nie słyszał. Nikt go nie widział od czasu, jak był jeszcze dzieckiem i wyjechał razem z naszymi rodzicami tutaj, w Olsztyńskie. Nie napisał też do nich ani nie prosił nikogo o pomoc. Przecież gdyby żył, to by się ze mną lub z siostrą próbował skomunikować. Wiedział, że go nie wydamy.

- Może przez swoje zniknięcie chciał Seklakom narobić ambarasu. Mógł się spodziewać, że milicja będzie Władysława Seklaka podejrzewać o zabójstwo swojego byłego szwagra.

- Taki mądry to Adam nie był. Po pijaku narozrabiać, szyby powybijając potrafił. Ale do podstępного działania nie był zdolny. Nic, tylko go wtedy dopadli razem z Prostonosem i zaciukali.

- To gdzie jest ciało? - mimo woli porucznik powtórzył zapytanie prokuratora.

Gajowy milczał chwilę. Zastanawiał się. Nawet podrapał się w głowę.

- Panie poruczniku - powiedział wreszcie - oni go utopili.

- Utopili?

- Przecież niedaleko płynie rzeka Młynówka. Nieduża, ale głęboka. Znam ją dobrze, bo jako szczeniak nie raz i nie dwa tam łowiłem raki. Piękne wtedy były tam raki.

38

Teraz już się tych dużych prawie nie spotyka. Jedyne małe. A dawniej były olbrzymy. Większe niż moja dłoń. Jak taki złapał, mógł palec złamać. Od Seklaków do Młynówki nie więcej niż pół kilometra. Dopadli go, kiedy uciekał, zaciągnęli do rzeki i wrzucili do wody. Miał buty filcowe i gruby kozuch. A w dodatku przecież był już dobrze napity. Na trzeźwo szyb w domu weselnym przecież by nie wybijał. Jak go wrzucili na głębie, musiał utonąć.

- Przy samym obejściu Seklaków Młynówka nie jest głęboka - oponował porucznik, który doskonale poznał teren wydarzeń.

- To prawda - przyznał gajowy. - Tam nawet wozami przejeżdżają. Ale trochę dalej rzeka robi zakole. Brzeg jest wysoki i pod samym brzegiem głębia ze cztery metry. Jeżeli z tego wysokiego brzegu wrzucili Adama do wody, poszedł jak kamień na dno. Nie miał szans ratunku. Z tamtego miejsca na trzeźwo trudno jest się wygrzebać, a co dopiero pijakowi. Poza tym, panie poruczniku, to był koniec grudnia. Mrozy wtedy jeszcze nie chwyciły, ale woda była zimna. Jak do niej wpadł, od razu skostniał.

- Znam to miejsce - przyznał oficer milicji - ale ono jest dość oddalone od domu Seklaków. Świadkowie zeznawali, że Władysław i Józef byli nieobecni w domu z piętnaście minut. Nie zdążyliby zaciągnąć Adama aż do tego zakola. Nawet gdyby się nie bronił lub gdyby go ogłuszyli.

- On uciekał, oni także biegli. Zresztą Adam sam mógł uciekać w tamtym kierunku. Tam krzaki są najgęstsze i najłatwiej się w nich schować. Kto wtedy patrzył na zegarek i liczył, jak długo Władka i Józka nie ma w domu? Może to nie było piętnaście, a dwadzieścia pięć minut, albo i z pół godziny. Zamieszanie musiało być ogromne. Kobiety krzyczały. Mężczyźni biegali w różne strony. Inni starali się zabezpieczyć wybite okna.

- Mrozy wtedy złapały dopiero w połowie stycznia - porucznika nurtowały wątpliwości - do tego czasu ciało by wypłynęło.

- Niekoniecznie. Cała rzeka jest obrośnięta wierzbami i osikami. Pełno w niej korzeni, a także pni, które zwałił

39

wiatr do wody. Ciało mogło się zaczepić o jakiś wykrot. Poza tym trzeba pamiętać, że brat miał na sobie dużo ciężkiej odzieży. Wątpię, czy topielec w kożuchu i grubych filcach wypłynie.

- Zawsze ktoś zobaczyłby w wodzie coś podejrzanego i próbował sprawdzić, co to płynie. Za zakolem rzeka znowu rozlewa szeroko, a dalej jest jaz po starym młynie, co się spalił w czasie wojny. Młyna nie odbudowano, ale jaz został naprawiony. Sam to sprawdzałem.

- Zgoda, panie poruczniku. Jaz jest rzeczywiście zamknięty i woda spiętrzona. Teraz mamy sierpień i w związku z tym niski stan rzeki. Wtedy, w grudniu, jaz był otwarty, bo na jesieni deszcze padają i nie ma potrzeby podnoszenia stanu wód gruntowych. Nawadnianie zimą nie działa. Także nikt w grudniu, a tym bardziej w święta, nad rzeką nie siedzi i ryb nie łowi, bo i tak by nic nie złowił. Co w tym dziwnego, że niczego nie zauważono? Trzeciego dnia świąt jeszcze wesele trwało w całej pełni. Nad Młynówką na pewno nie było żywego ducha. Tymczasem prąd poniósł ciało dalej albo zaczepiło się gdzieś o korzenie i do tej pory tam się znajduje.

Trzeba przyznać, że słowa gajowego trafiły porucznikowi do przekonania.

Rzeczywiście Młynówka mogła kryć tajemnicę zaginięcia Adama Tupy. Wprawdzie prąd tej rzeki, a raczej rzeczki, jak zresztą wszystkich nizinnych rzek Olsztyńskiego nie był zbyt bystry, ale najrozmaitszych pniaków, korzeni i innych przeszkód w niej nie brakowało. Ciało mogło nie wypłynąć i zaczepione, gdzieś nadal tkwiło w nurtach Młynówki lub pobliskiej Łyny, do której Młynówka wpada w odległości kilku kilometrów od wsi Sępopole. Czy zresztą wrzucono zwłoki koniecznie do Młynówki? W tej okolicy pełno było dołów potorfowych, małych sadzawek zwanych „żabimi oczkami” i różnych grzędzawisk. Nie brakło też nieczynnych studni w gospodarstwach zniszczonych podczas działań wojennych. Jeśli więc Adam Tupa

został zabity, jego zabójcy nie mieli większych kłopotów z pozbyciem się zwłok. Wszystkie dotychczasowe poszukiwania ograniczały się do penetracji terenów bezpośrednio przytykających do obejścia Seklaków. Szukano raczej jakichś śladów ewentualnej bójki, a nie ciała. Teraz trzeba było tę akcję przeprowadzić ponownie, ale już w znacznie szerszym zakresie. Skoncentrować się przede wszystkim na znalezieniu zwłok zabitego. Żeby pan prokurator miał nareszcie dowód popełnienia przestępstwa i mógł wydać nakaz zatrzymania podejrzanych.

Porucznik Kowalski uparł się bowiem, że musi tę sprawę rozwiązać. Dotychczasowe niepowodzenia nie złamały go. Przeciwnie, im ich było więcej, tym jeszcze bardziej utwierdzały młodego oficera milicji w jego postanowieniu. Nic go nie zrażało, nawet uśmiechy i docinki kolegów, którzy wkrótce zaczęli uważać, że ich przyjaciel Broniek dostał lekkiego szmergla na punkcie „Tupy”. Przy tym pierwszą literę w tym nazwisku zamieniano na inną spółgłoskę. Bronisław wysłuchiwał tych żartów, nie obrażał się za nie, a powtarzał swoje, że przyjdzie czas, kiedy dowcipnisie będą go przepraszać. I to już wkrótce.

Co do terminu, to niestety porucznik popełnił poważną omyłkę. Przyszła jednak pora, kiedy oddano mu sprawiedliwość.

A tymczasem oficer milicji pilnie studiował najrozmaitsze mapy, sam często jeździł w teren i planował tak wielką akcję, jakiej jeszcze nigdy powiat kętrzyński nie widział.

!10

41

## WIELKA AKCJA

Kiedy porucznik zwierzył się ze swoich zamiarów komendantowi powiatowemu MO w Kętrzynie, major za głowę się złapał.

- Wykluczone! - powiedział.

Ale młody oficer był uparty. Tak długo przekonywał zwierzchnika, aż ten wreszcie zaczął mięknać.

- Może i macie słusność - przyznał major - nie przeczę, taka akcja może dać pozytywne rezultaty. Ale czy zastanowiliście się choćby przez chwilę, jakie trudności



wiążą się z jej przeprowadzeniem?

- To biorę na siebie. Mam plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Sporządziłem dokładne szkice terenowe. Oznaczyłem poszczególne odcinki działań. Sprawdziłem jakiego sprzętu musimy użyć. Wszystko da się przeprowadzić jednego dnia. To zresztą konieczne, bo wszelkie przerwanie akcji może spowodować przeciwdziałanie przestępców. Jeden dzień i kilkuset ludzi, a sprawa będzie jasna. Tym razem na pewno osiągniemy zwycięstwo.

- Tylko kilkuset ludzi?

- Tak - porucznik uniesiony zapałem nie spostrzegł, że jego przełożony najwyraźniej sobie podkpiwa z młodego oficera - dwustu pięćdziesięciu do trzystu powinno nam wystarczyć.

- Bagatela - major nie wiedział czy się śmiać, czy gniewać - a wiecie ile mamy etatów w Kętrzynie, łącznie ze wszystkimi posterunkami w całym powiecie? I połowy tego nie zebrałbym, nawet ogałając te posterunki i zamykając komendę powiatową na klucz. Dużo ostatnio o was koledzy mówili, teraz widzę, że z wami rzeczywiście coś nie w porządku.

42

- Majorze, ta akcja jest konieczna.

- Ale nie z tyloma ludźmi. Ostatecznie ze dwudziestu dałoby się zebrać.

- To na nic. Dwudziestu ludzi musiałoby pracować przynajmniej przez dwa tygodnie. Zakładając, że zwłoki są ukryte w jakiejś sadzawce czy starej studni, przestępcy widząc nasze poszukiwania wyciągną je i przeniosą w miejsce już przez nas zbadane lub wywiozą je gdzieś dalej. To musi być wykonane jednego dnia. Cały obszerny teren musi być zbadany i dokładnie przeszukany od świtu do zmierzchu. Rozkładanie na raty jest bezcelowe.

Major w duchu przyznawał, że jego podkomendny ma rację. Nie wyobrażał sobie jednak, w jaki sposób uda się pokonać trudności organizacyjne. Przecież takiej liczby ludzi nie ściągnie się z sąsiednich powiatów i z Wojewódzkiej Komendy MO. Ten chłopak naprawdę zwariował!

- Skąd ja wam wezmę tak wielką ekipę?

- Można by, panie majorze, użyć do tego ORMÓ, a naszych tylko do kierowania poszczególnymi odcinkami akcji. Ormowcy mieliby dobre ćwiczenia.
- Ormowców także tylu nie zbierzemy.
- A jednak sądzę, że sporo. A kiedy im się powie, żeby przyprawdzili i innych ochotników, to już będzie duża grupa. Ludzie chętnie wezmą udział w takiej akcji. Choćby przez prostą ciekawość. Można by jeszcze prosić o pomoc jednostkę wojskową. Gdyby tak oddelegowali jedną kompanię i dali sprzęt taki jak łodzie, sieci czy bosaki.
- Skąd wam wojsko weźmie sieci? To już raczej trzeba byłoby poprosić te PGRy, które prowadzą działalność rybacką. A czy wojsko zechce nam pomóc?
- Na pewno pomogą! - gorąco zapewnił porucznik. - Oni w takich wypadkach nigdy nie odmawiają pomocy. Pan major bez trudu załatwi to z ich pułkownikiem.
- Może bym i załatwił.
- To znaczy, że wszystko gra. Wystarczy wyznaczyć datę naszej akcji i przed tym zawiadomić władze radzieckie.
- Władze radzieckie? - zdziwił się major. - A dlaczego?

43

- Rzeka Młynówka, a właściwie Świętojańska Młynówka, jak brzmi jej pełna nazwa, wpada do Łyny tuż przed granicą polsko-radziecką. Dalej Łyna płynie do Niemna przez terytorium ZSRR. Trzeba więc uzgodnić - ciągnął porucznik z niewinną miną - z władzami radzieckimi, żeby i one na swoim terenie przeprowadziły takie same poszukiwania. Zwłoki mogły bez paszportu opuścić Polskę i popłynąć za granicę. Słuchając wywodów podkomendnego major myślał, że zemdleje. Co sobie ten chłopak wykombinował? Zaś porucznik spokojnie zakończył:
  - Z władzami radzieckimi to pan major także musi załatwić.
  - Nic nie będę załatwiał! - major wreszcie doszedł do głosu. - Pojedziecie z raportem do Olsztyna, do Wojewódzkiej Komendy MO. Niech się oni wypowiedzą, co o tym sądzą. A skoro się zgodzą, niech sami załatwiają sprawę z władzami radzieckimi. To nie leży w naszej kompetencji. Jeżeli wam dobrze zmyją głowę za wasze pomysły, nie będę was bronił.

Porucznik nazajutrz pojechał do Olsztyna. Tam przekonywał, molestował i prosił wszystkich, kogo tylko udało mu się dopaść. Nie wyłączając samego komendanta wojewódzkiego. O dziwo, udało mu się przekonać kierownika sekcji zabójstw w Wydziale Dochodzeniowym KWMO, że taka akcja jest konieczna. Dalej już poszło gładko. Komenda zgodziła się oddelegować do tej akcji trochę swoich ludzi. Wyrażono także zgodę na użycie ORMO i mobilizację ochotników spośród miejscowej ludności, a także zwrócono się do wojska o udzielenie pomocy. Władze radzieckie zawsze w takich wypadkach przychodzące nam z pomocą, nie odmówiły jej i tym razem.

Datę akcji, trzymaną na razie w ścisłej tajemnicy, ustalono na 13 września 1961 roku. Miejsce zbiórki: wieś Sępopole. Godzina rozpoczęcia akcji: szósta rano. Zbiórka na miejscu pół godziny przed tym. Zgromadzono odpowiednią ilość potrzebnego sprzętu i zapewniono transport.

Jak na skalę miejscowych stosunków, była to naprawdę gigantyczna akcja. Przeszukano bardzo dokładnie cały teren w promieniu kilku kilometrów od punktu centralnego, którym był dom Władysława Seklaka. Za pomocą bosaków i sieci zbadano wszystkie sadzawki i „żabie oczka”. Spenetrowano mokradła. Ludzie na ochotnika spuszczały się do starych studzien i sprawdzali, czy na ich dnie nie ma pod zwalonymi tam kamieniami i gruzem jakichś zwłok.

Wojsko wzięło na siebie penetrację rzeki Świętojańskiej Młynówki. Na czółnach i sieciach badano metr po metrze dno rzeczulki. Najbardziej z tego był zadowolony dowódca tej akcji, wielki amator raków. Jego żołnierze znieśli mu przeszło dwie kopy tych krabów. Wśród nich były nie tylko małe raki „amerykańskie”, ale trafiły się także piękne okazy ginącego już raka polskiego.

Plon poszukiwań był bardzo obfity. Znaleziono sporo starej, zardzewiałej broni. Poniemieckiej. Wyciągnięto z rzeki i z różnych sadzawek kilka ton najrozmaitszego że-laziwa. W tym nawet stary samochód i trzy motocykle. Wszystko takie smutne pamiątki wojenne. Po radzieckiej stronie, podobno w rozlewiskach Łyny, odkryto kilka zatopionych czołgów, ostatni ślad panicznej ucieczki hitlerowców przed naporem ofensywy wojsk radzieckich w 1944 roku. W jednym z mniejszych jezior

umiejscowiono wrak zestrzelonego hitlerowskiego samolotu. Wyciągnięto z wody dużo drzewa. Niektóre pnie były na pół zbutwiałe, ale inne nadawały się albo na opał, albo na dalszy przerób.

Niestety wśród tak wielu interesujących znalezisk nie było niczego, co pomogłoby rzucić nowe światło na tajemnicze zniknięcie Adama Tupy w dniu dwudziestego szóstego grudnia ubiegłego roku. Chociaż więc nie można byłoby powiedzieć, że wielka akcja skończyła się całkowitym fiaskiem, dla śledztwa okazała się ona całkowicie bezużyteczna.

44

45

## RYZYKOWNA GRA

Widząc rezultaty z takim mozołem zorganizowanej akcji, porucznik Kowalski postanowił jeszcze raz zaryzykować. Tego samego dnia, 13 września, zatrzymał i umieścił w areszcie powiatowym Władysława Seklaka. Postawił mu zarzut, że w 1960 roku, w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia wspólnie z Józefem Prostonosem przyczynił się do zaginięcia Adama Tupy.

Specjalnie zarzucano Seklakowi nie „pozbawienie życia”, ale „przyczynienie się do zaginięcia”. Porucznik liczył, że Władysław Seklak przestraszony milicyjną akcją, której wyników przecież nie znał, ratując własną skórę, zacznie „sypać” i zwać winę na swojego szwagra, Józefa Prostonosa.

Jednakże Władysław Seklak nie załamał się. Wprawdzie nieco zmienił swoje poprzednie zeznania, ale do udziału w zabójstwie swojego byłego szwagra nie miał zamiaru się przyznawać.

Przesłuchiwany tym razem już nie w charakterze świadka lecz podejrzanego, gospodarz z Sępopola potwierdził, że kiedy usłyszał brzęk wybijanych szyb, zaraz wyskoczył na dwór. Razem z innymi uczestnikami wesela. Tym razem nie powtarzał, że w napastniku poznał Adama Tupę, ale mówił, że wybiegając przed dom zauważył jakiegoś uciekającego mężczyznę. Zapewne sprawcę chuligańskiego wybryku. Nadal Seklak nie wykluczył, że mógł porwać ze stołu nóż, ale twierdził, że ten nóż, przyniesiony później do pokoju, nie miał żadnych śladów krwi. Zresztą niepodobna

byłoby nim zrobić krzywdę człowiekowi ubranemu tak, jak się ludzie ubierają w zimie.

Widząc z daleka sylwetkę uciekającego człowieka, zeznawał Władysław Seklak, pobiegł on za nim. Ale ta po-

46

goń nie szła mu zbyt sprawnie. Szybko się zadyszał i zmęczony wkrótce stanął. Pozostali uczestnicy gonitwy nie dobiegli nawet do miejsca gdzie stał. Jedyne Prosto-nos dalej ścigał uciekającego. Czy go dogonił, tego jego szwagier nie może stwierdzić. Kiedy Prostonos wrócił miał koszulę zaplamioną krwią. Opowiadał, że wpadł na drut kolczasty.

Natomiast on sam, Władysław Seklak, nie miał żadnych śladów krwi. Po powrocie do domu i opatrzeniu okien, zabawa trwała nadal. Nad ranem pan domu zdrzemnął się nieco, a po przebudzeniu musiał się zająć krowami i innym inwentarzem. W zabawie weselnej nastąpiła parogodzinna przerwa. Wszyscy przecież byli zmęczeni i prawie wszyscy mieli obowiązki domowe, których nie można było odłożyć. Trzeba nakarmić inwentarz, wydoić krowy. Po tej przerwie goście wrócili do mieszkania Seklaków i bawili się jeszcze przez cały dzień. A nazajutrz nastał w Sępopolu normalny dzień pracy. Pan młody, Józef Prostonos, udał się do swojej roboty. Te zeznania bardzo poważnie różniły się od składanych przez przesłuchiwanego uprzednio. Teraz na pierwszy plan wysuwał się Prostonos. Nie było już mowy, że Seklak pomagał szwagrowi w wyplątaniu się z drutów kolczastych ani o tym, że przy tej okazji sam także poplamiał sobie koszulę.

- Zeznawaliście przed tym, że mieliście poplamioną koszulę i musieliście po powrocie do domu ją zmienić. Teraz ani słowa o tym nie wspominiacie.

- Żadnych śladów krwi na sobie nie miałem. Po powrocie do domu uszczelniałem okna. Widzieli mnie wszyscy, którzy byli na weselu. Mogą poświadczyć. Ani na nożu, który odniosłem na stół, ani na rękawach koszuli żadnych śladów krwi nie było. To Prostonos był zakrwawiony.

- Mam wasze zeznania, gdzie jest mowa o zmianie koszuli.

- Kiedy się obudziłem i wróciłem do obrządzania inwentarza, wtedy rzeczywiście

zmieniłem koszulę.

- A Prostonos?

47

- Pożyczyłem mu swoją. Bo jego była zakrwawiona. On zmieniał od razu, a ja później. Rankiem następnego dnia.

- Na początku co innego zeznawaliście.

- Bo mi się wtenczas wszystko poplątało. Czy to człowiek może spamiętać po tylu miesiącach jak to dokładnie było? Przecież wesele trwało już dwa dni. Piliśmy dużo. Jako gospodarz musiałem przepijać do gości. Miałem więc nieźle w czubie. Józek opowiadał, jak to wpadł na druty na tej łące, która się ciągnie wzdłuż szosy. Mówił, że nie mógł się z nich wyplątać. To mnie się potem, kiedy już byłem trzeźwy, wydawało, że mu pomagałem. Ale teraz dobrze sobie przypominam. Biegając tak się zadyszałem, że musiałem stanąć na drodze.

- Zeznawaliście, że razem z Prostonosem przeskoczyliście rów i przebiegliście przez pastwisko, aby szukać Adama Tupy w krzakach nad rzeką.

- Tak mówiłem, bo to Józek opowiadał, a mnie się zdawało po pijaku, że byłem z nim razem. Ale to nieprawda.

Kolejna rozmowa porucznika z prokuratorem nie zmieniła sytuacji.

- Te zeznania rzeczywiście różnią się od siebie - powiedział prawnik - ale różnice są nieistotne. Ci ludzie na pewno byli wówczas, w czasie wesela, pijani i nie bardzo sobie potem przypominali, jak to rzeczywiście było. Jednakże i te najnowsze zeznania, chociaż widzę w nich chęć zasłonięcia się przez Seklaka osobą swojego szwagra, nie wnoszą niczego nowego do sprawy. Nadal nie ma najmniejszego dowodu, który świadczyłby o zabójstwie Adama Tupy.

- Ale listy gończe nie dały rezultatu - przypomniał oficer milicji.

- Nie dały - przyznał prokurator - ale to także nie jest dowodem śmierci Adama.

Mamy i inne przykłady, że przestępcy potrafili ukrywać się przez całe lata, pomimo rozpisania za nimi listów gończych. A później odnajdowaliśmy ich całych i zdrowych.

- Więc pan prokurator nadal odmawia podpisania nakazu tymczasowego

aresztowania Władysława Seklaka.

48

- Niestety, muszę. Materiały śledztwa nie upoważniają mnie do pozbawienia wolności tego człowieka. Zebrane przez milicję poszlaki są bardzo wątpliwe. Nie mogę ich uznać za podstawę dania sankcji.

Rad nierad, po upływie czterdziestu ośmiu godzin, porucznik musiał Władysława Seklaka odesłać do domu. Ewentualne zatrzymanie na dwa dni Józefa Prostonosa i przesłuchiwanie go w charakterze podejrzanego nie miało teraz żadnego sensu.

Podbudowany zwolnieniem szwagra, Prostonos mógłby jedynie potwierdzić swoje uprzednie zeznania.

49

### DZIWNA POCZTÓWKA

A jednak ktoś najwidoczniej przestraszył się uporem milicji, tak gorliwie poszukującej śladów Adama Tupy. Żywego czy martwego! Oto pewnego październikowego dnia do porucznika Kowalskiego zgłosił się znowu brat zaginionego, Józef.

- Wczoraj - powiedział - listonosz przyniósł mi tę kartkę.

To mówiąc położył na biurku przed oficerem milicji pocztówkę z widokiem gdańskiego żurawia. Na kartce dużymi kaligraficznymi literami wypisany był adres gajowego i kilka słów z pozdrowieniami: Drogi bracie,

Nie martwcie się o mnie. Mnie się dobrze powodzi. Mam dobrą pracę. Na swoją dawną gospodarkę w Weten nie mam zamiaru wracać. Jak już będę całkiem zdrowy, to was odwiedzę. Może w najbliższe święta. Całuję ciebie i Marysię

Wasz brat Adam Na pocztówce, chociaż pochodziła z Gdańska, stempel wskazywał, że została wrzucona do skrzynki w Olsztynie.

Trzy dni przed dniem, w którym Józef Tupa przyniósł ją do komendy milicji.

- Poznajecie, to charakter pisma waszego brata?

- Bo ja wiem?

- Macie w domu jakieś inne listy od brata? Z dawniejszych czasów?

- Nie mam. Dlaczego miałby do mnie pisać? Mieszkamy od siebie tylko pięć kilometrów. Kiedy się chciał ze mną zobaczyć, brał rower i przyjeżdżał. Ja także do niego nie pisałem.

- Może siostra ma jego pisma?

- Też nie będzie miała. Ona przecież jeszcze bliżej mieszka, bo na drugim końcu wsi. Porucznik ostrożnie obracał w rękę pocztówkę. Chyba ta kartka była dużo wcześniej kupiona. O tym świadczyły ślady załamań i plamy brudu. Natomiast znaczek pochodził z ostatniej emisji pocztowej. Jako filatelista, oficer milicji doskonale się w tym orientował.

- Możecie mi zostawić tę pocztówkę?

- Po to ją panu porucznikowi przyniosłem. Nie wydaje mi się, żeby ją Adam pisał. Co on tu mówi o swoim zdrowiu? Przecież to był kawał chłopca. Zdrowszy jak dąb. To pachnie mi jakimś szwindlem Seklaków. Zabili człowieka, a teraz podrzucili ten list.

- Zbadamy sprawę, panie gajowy - porucznik uważnie, aby nie zostawić na pocztówce swoich śladów, schował ją do białej koperty.

- To ja już pójdę.

- Jeszcze chwileczkę, panie Tupa. Chciałbym wziąć odciski pańskich palców.

- Dlaczego? - zdziwił się pan Józef.

- Na tej pocztówce mogą być ślady różnych rąk. Mamy odciski palców zarówno Władysława Seklaka, jak i Prostonosa. Pan przecież miał tę kartkę wielokrotnie w ręku. Przydadzą się nam i pańskie odbitki palców.

Gajowy chętnie się zgodził i zaprowadzony przez porucznika do specjalisty od daktyloskopii zostawił u niego dziesięć pięknych odcisków swoich palców. Technik zbadał dokładnie pocztówkę. Musiała być ona w wielu rękach, bo nawet ślady palców Józefa Tupy były zamazane. Innych w ogóle nie dało się odcyfrować.

Zdobycie próbek pisma Józefa Prostonosa nie przedstawiało trudności. W aktach personalnych POM, gdzie kierowca był zatrudniony, znajdował się życiorys odręcznie pisany przez tego człowieka.

Poradzono sobie także z autografami Władysława Seklaka. Znacznie gorzej było ze zdobyciem pisma Adama Tupy. Dopiero w urzędzie gminnym udało się odszukać



50

51

w archiwum jakiś kwestionariusz wypełniony i podpisany przez zaginionego. Było tam zaledwie kilka linijek odręcznego pisma. Musiało to jednak wystarczyć Zakładowi Kryminalistyki w Warszawie, dokąd wysłano zarówno pocztówkę, jak i zdobyte próbki pisma.

Z zakładu otrzymano wyłącznie negatywne odpowiedzi. Pismo na pocztówce na pewno nie pochodziło z ręki Adama Tupy. Zakład również wykluczał, aby jego autorem mógł być Władysław Seklak czy Józef Prostonos. Biegły uzasadnił to w obszernym wywodzie. Przypuszczał on, ale zastrzegając się, że nie jest tego stuprocentowo pewny, że pocztówkę napisało dziecko w wieku około dziesięciu lat. Najprawdopodobniej dziewczynka. Do pisania użyto długopisu krajowego pochodzenia.

Milicja zdołała ustalić, że miejscowy POM zorganizował w czerwcu wycieczkę dla swoich pracowników do Gdańska na święto Morza. W tej wycieczce uczestniczył Józef Prostonos. Miał zatem możliwość zaopatrzenia się w pocztówkę z żurawiem gdańskim.

Z Sępolicy do Olsztyna niedaleko. Są połączenia kolejowe i autobusowe. Władysław Seklak miał także motocykl. W ciągu dwóch godzin, niezauważony przez nikogo, mógłby w Olsztynie wrzucić pocztówkę do pierwszej napotkanej skrzynki pocztowej i spokojnie wrócić albo do domu, albo od razu na pole do pracy przy wykopkach. Dla Józefa Prostonosa takie wyekspediowanie listu było sprawą jeszcze bardziej prostą. Nie było tygodnia, aby kierowca z POM-u przynajmniej raz nie woził jakiegoś ładunku do miasta wojewódzkiego.

A napisanie pocztówki cudzą ręką to także żaden problem. Wystarczyło choćby obwiązać sobie bandażem prawą rękę i, na przykład, iść na dworzec kolejowy. Tam, w poczekalni dla młodzieży szkolnej, poprosić jakiegoś ucznia lub uczennicę, aby była tak grzeczna i napisała pod dyktando parę słów człowiekowi, który sam w tej chwili nie może ująć długopisu.

Po wyjaśnieniu mistyfikacji porucznik schował widokówkę do akt sprawy. Nawet się

nie fatygował, aby na tę okoliczność przesłuchać Seklaka czy Prostonosa. Z góry wiedział, że obaj wszystkiemu zaprzeczą. A dowodów, że któryś z nich jest inspiratorem listu mającego utwierdzić rodzinę i milicję, iż Adam Tupa żyje, oficer milicji nie miał żadnych.

52

53

#### POKONANY, ALE NIEZWYCIĘŻONY

Wszystkie, dotychczasowe poczynania śledztwa skończyły się zupełnym fiaskiem. Pomimo to porucznik Kowalski nie uznał się za zwyciężonego. Nie odłożył sprawy na półkę, ale z całą energią poszukiwał nowych dowodów, że Adam Tupa nigdzie nie uciekł, lecz stracił życie tamtej nocy, drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. Znowu rozpoczęły się przesłuchiwanie byłych uczestników weseliska w domu Władysława Seklaka. Aresztowanie tego gospodarza odnowiło przecież całą sprawę. We wsi ponownie zaczęto mówić o dziwnym zniknięciu Adama. Odżywały dawne plotki i przypuszczenia co do losu byłego mieszkańca sąsiedniej wioski Weten. Pewna kobieta przypomniała sobie szczegół, być może bez znaczenia, być może jednak bardzo istotny dla sprawy. Twierdziła ona, że widziała Prostonosa, który wybiegając na drogę złapał cegłę ze stosu ułożonego pod parkanem. Z tą cegłą pogonił za napastnikiem. Później, na drugi dzień, ta sama kobieta widziała jakąś cegłę leżącą na pastwisku, gdzie rzekomo Prostonos wpadł na druty kolczaste. Czy była to ta sama cegła, czy inna, tego naturalnie przesłuchiwana nie mogła wiedzieć. W ogóle nie wchodziła na pastwisko.

- Cegła leżała przy drutach kolczastych?

- Nie pamiętam, czy tam były jakieś druty kolczaste. Może i były, ale nie w tym miejscu. Cegła leżała mniej więcej na środku pastwiska Pomiędzy drogą a krzakami, które rosną nad Młynówką.

- To było na drugi dzień po tym zajściu na weselu?

- Tak. Szłam tamtą drogą z powrotem na wesele. Było nieco przed południem.

- A po wybicciu szyb była pani jeszcze długo w domu Seklaka?

- Z godzinę, może dwie. Potem zabrałam męża i wróciliśmy do naszej chałupy. Chcieliśmy się przespać, a i obowiązki gospodarcze czekały. Wesele weselem, ale świniom trzeba dać jeść. Krowy także same się nie wydoją i nie nakarmią. A kury, kaczki, gęsi?

- Kiedy wracaliście z wesela, niczego nie widzieliście na drodze albo obok?

- Nic nie widziałam. Było ciemno. Tę cegłę na pastwisku zauważyłam następnego dnia. Wtedy sobie przypomniałam, że widziałam jakąś cegłę w ręku Prostonosa, kiedy gonił Adama.

- Pani widziała, że to Adam Tupa wybił szyby?

- Nie widziałam, ale nikt inny nie mógł tego zrobić. Zresztą Władek Seklak od razu krzyczał, że to jego były szwagier stoi za oknem.

- Widzieliście kiedy Tupę po tym zajściu?

- Nie widziałam. Nikt go więcej nie widział.

- Co się z nim stało? Kobieta uśmiechnęła się:

- To chyba pan porucznik powinien wiedzieć. We wsi różnie na ten temat gadali. Ale po co powtarzać plotki. Kto wie, ile w nich prawdy?

- Wracając jeszcze do tej cegły, czy ona później jeszcze leżała na pastwisku?

Widziała ją pani przechodząc tamtędy w następnych dniach?

Kobieta długo się zastanawiała. Wreszcie powiedziała:

- Chodzę tamtędy prawie codziennie. Bo to najbliżej ode mnie do sklepu. Cegła widoczna była z daleka. Czerwona na szarej ziemi. Ale czy ona tam długo leżała, tego nie wiem. Później już jej nie zauważałam. Może jakieś dzieciaki zabrały, a może nie zwracałam na nią uwagi. W tydzień po Nowym Roku spadł śnieg i już niczego nie było widać.

Porucznik doskonale znał pastwisko, o którym wspomniała przesłuchiwana. Cały ten teren penetrował kilkakrotnie. Tam też prowadzono szczegółowe przeszukiwania w czasie wielkiej akcji. Żadnych cegieł tam nigdy oficer milicji nie zauważył. Nawet w krzakach nad rzeką. A cóż dopiero na środku łąki. Nie stanowiło to jednak żadnego dowodu dla śledztwa. Cegła na pastwisku mogła być zupełnie inną cegłą niż ta widziana w ręku Prostonosa. Zaś sam Prostonos,

chwytając w podnieceniu pierwszy przedmiot, który zauważył, mógł cegłę rzucić zaraz za parkanem oddzielającym obejście Władysława Seklaka od drogi.

Inni przesłuchiwani świadkowie nie wnieśli niczego nowego do sprawy. Tyle tylko, że we wsi panowało przekonanie, iż Adam Tupa na pewno nie żyje. Ale co się z nim stało, czy i jak zginął tamtejszej grudniowej nocy, o tym nikt nie mógł albo nie chciał powiedzieć.

Niezrażony tymi kolejnymi niepowodzeniami, porucznik Kowalski spróbował jeszcze jednego „mocnego uderzenia”. Oto w rocznicę tajemniczego zniknięcia Adama Tupy oficer milicji znowu przesłuchiwał Władysława Seklaka. Przesłuchiwał go w charakterze świadka. Odbyło się to w budynku komendy powiatowej w Kętrzynie dwudziestego siódmego grudnia 1961 roku.

Władysław Seklak tym razem był bardzo powściągliwy w słowach. Najczęściej używał zdania: „nie pamiętam, to przecież już rok czasu upłynął od tamtego wieczoru”. A kiedy mu porucznik odczytywał poprzednie zeznania, przesłuchiwany krótko odpowiadał „jeżeli mówiłem, to musiało tak być”.

Na pytanie co się mogło stać z Adamem Tupą, jego były szwagier wzruszył ramionami:

- A co mnie ten łobuz obchodzi? Jeżeli macie do niego sprawę, to go szukajcie. Ja nic o nim nie wiem.

Trzydziestego stycznia 1962 roku przesłuchano także Józefa Prostonosa. Ten również nie okazał się rozmowny.

- To był późny wieczór. Było ciemno. Wypadłem na dwór. Gonilem drogą. Zdawało mi się, że ten chuligan skręcił na łąkę. Podskoczyłem za nim, ale był daleko.

Wpakowałem się na jakieś druty kolczaste, których w ciemności nie zauważyłem. Pokaleczyłem sobie rękę. Do tej pory mam ślady. Może pokazać?

56

- Nie trzeba. Każdy z nas ma jakieś blizny na rękach. To nie jest żaden dowód.

- Jak pan porucznik chce. Wyplątałem się z tych drutów i zły jak piorun wróciłem do domu. Tego łobuza już więcej nie szukałem, bo znikł mi z oczu. Nic nie wiem o Adamie. Nigdy go potem nie widziałem.

- Kiedy go goniliście, mieliście w ręku cegłę?

- Może i miałem. Nie przypominam sobie. Jeżeli miałem, to ją zgubiłem, kiedy wpadłem między druty.

Dokonano także konfrontacji obu szwagrów. Nic to nie dało. Potwierdzili swoje uprzednie zeznania, zaś drobne różnice w tych opowiadaniach tłumaczyli brakiem pamięci i alkoholem, który szeroką strugą płynął na weselu.

Po upływie terminu przewidzianego przez kodeks postępowania karnego prokurator wydał decyzję o umorzeniu sprawy.

Zresztą ta decyzja została wkrótce uchylona na skutek zażalenia złożonego przez brata zaginionego, Józefa Tupę. Przed złożeniem zażalenia gajowy kilkakrotnie odwiedzał Kętrzyn i długo rozmawiał z porucznikiem Kowalskim, który również uważał, że śledztwa nie należy zaniechać.

Ale i wznowienie śledztwa nie przyniosło oczekiwanych wyników. Upłynął rok i prokurator ponownie sprawę umorzył. Tym razem już i rodzina dała za wygraną. Porucznik Kowalski, który ani na chwilę nie zwątpił, że Adam Tupa nie żyje, zaś jego mordercy ciągle chodzą na wolności, musiał się zająć innymi sprawami.

Józef Prostonos widocznie na dobre pokłócił się ze swoim szwagrem, Władysławem Seklakiem. Z całą rodziną wyprowadził się z tych okolic. Zamieszkał na drugim krańcu Polski, aż w Leżajsku.

- To wprawdzie nie łączy się zupełnie z opowiadaną przeze mnie sprawą - powiedział pułkownik Adam Krzyżewski - ale wkrótce Prostonosem i tam zainteresowała się milicja. W 1964 roku i w pięć lat później Józef Prostonos skazany został przez sądy za kradzież rozbójniczą i przestępstwa gospodarcze.

57

## PO PIĘTNASTU LATACH

Po decyzji prokuratora sprawa powędrowała do Komendy Wojewódzkiej MO w Olsztynie, do sekcji zabójstw Wydziału Kryminalnego. Dla milicji bowiem nie ma spraw umorzonych. Systematycznie do nich się wraca, ponawiając próby rozwiązania starych zagadek. Tak też było i z tym śledztwem. Co pewien czas akta sprawy

studiował jakiś oficer dochodzeniowy. Sprawdzano, czy Adam Tupa nie odnalazł się żywy w innej stronie naszego kraju. Badano, co robią ludzie, na których spoczywało podejrzenie, że są zabójcami. Przeprowadzono dyskretne wywiady wśród miejscowej ludności.

Przez całe jednak lata śledztwo nie posunęło się ani na krok do przodu. Fakt, że Adam Tupa przez te wszystkie lata nie dał znaku życia, coraz bardziej utwierdzał milicję w przekonaniu, że zginął on w tamtą grudniową noc z ręki rodziny swojej byłej żony.

Ale od przekonania do zdobycia dowodów jeszcze droga bardzo daleka.

Jednak i w Olsztynie, wśród tamtejszych oficerów milicji, znaleźli się ludzie równie uparci jak porucznik Bronisław Kowalski. Jednym z tych upartych był kierownik sekcji zabójstw, kapitan Julian Majewski. On także przyrzekł sobie, że musi tę sprawę wyświecić.

Kapitan Majewski nie negował celowości dotychczas prowadzonego śledztwa.

Uważał on postępowanie porucznika Kowalskiego za słuszne. Zwłaszcza pochwalał młodszego oficera milicji za zorganizowanie wielkiej akcji poszukiwania zwłok. Ale doświadczony kapitan poszedł dalej w swoich rozważaniach. Umiał wyciągnąć właściwe wnioski z fiaska tej akcji.

58

- Mamy bezsporny dowód - kapitan tłumaczył na jednej z odpraw - że ciało Adama Tupy nie zostało wrzucone do wody. Gdyby tak było, porucznik Kowalski odnalazłby te zwłoki. Jeśli ciała nie było w rzece czy w innym zbiorniku wody, musi się ono znajdować w ziemi. Zabójcy korzystając z rozgardiaszu panującego na weselu bez trudu mogli się z niego wymknąć, na razie ukryć zwłoki gdzieś w pobliżu, a później, na drugi czy trzeci dzień, spokojnie je pochować.

- Ale gdzie? - mruknął któryś z oficerów obecnych na odprawie. - Szukaj wiatru w polu.

- To bardzo proste - spokojnie odpowiedział kapitan Majewski - zwłoki mogły być pochowane jedynie na gruncie należącym do Władysława Seklaka.

- Dlaczego?

- Bo każdy inny gospodarz, choćby przy okazji wiosennych siewów i orki - wyjaśniał kierownik sekcji zabójstw - zaraz by spostrzegł, że na jego gruncie ktoś coś kopał. A że we wsi aż się roilo od plotek na temat losu Adama Tupy, nikt takiego spostrzeżenia nie trzymałby w tajemnicy. Albo by od razu dano znać sołtysowi i milicji, albo po prostu sami chłopi chcieliby zbadać, co zostało ukryte w rozkopanej ziemi.

- Sądzę, że kapitan Majewski ma rację - zauważył naczelnik Wydziału Kryminalnego - ale o ile się orientuję, Władysław Seklak jest właścicielem coś ze dwunastu hektarów ziemi. I to położonej w kilku kawałkach.

- Ostatnio także wydzierżawił z funduszu ziemi dodatkowe cztery hektary - uzupełnił kapitan.

- Odnalezienie miejsca zwłok wydaje mi się beznadziejne.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję - uśmiechnął się kapitan.

- Wcale nie potrzeba robić poszukiwań na dwunastu czy szesnastu hektarach.

Wystarczy na jednej piątej tego terenu. A nawet na jeszcze mniejszej powierzchni.

- Tak sądzicie, kapitanie? - jeden z obecnych na odprawie oficerów wyraził wątpliwość.

59

- Z całą pewnością można przyjąć - dowodził Majewski - że zabójstwa Adama Tupy dokonano mniej więcej w promieniu dwustu pięćdziesięciu metrów od domu Władysława Seklaka. Uciekinier ubrany w ciężki kozuch i filcowe buty na nogach nie mógł dalej uciec. Dopadli go na szosie albo na tym pastwisku i tam wykończyli. Wszystkie zeznania określają nieobecność Seklaka i Prostonosa na jakieś piętnaście minut. Nikt z gości nie spoglądał wtedy na zegarek, ale nawet jeżeli przyjmiemy, że ci dwaj byli poza domem aż do pół godziny, zbrodni dokonano w pobliżu.

- Z tym się zgadzam - przytaknął naczelnik wydziału.

- Sądzę, że zwłoki najpierw ukryto. Być może właśnie w tych krzakach nad rzeką. Później wykopano grób i przeniesiono tam ciało. Jestem przekonany, że ten pogrzeb zorganizowano dopiero po zakończeniu weseliska. W przeciwnym wypadku dłuższa nieobecność pana młodego i gospodarza wesela musiałaby się rzucić w oczy uczestnikom zabawy. To zupełnie jasne, prawda?

- Oczywiście.
- Największym ryzykiem dla przestępców był transport zwłok. Dlatego też na pewno wybrali na miejsce grobu najbliższy położony kawałek piaszczystej gleby, należącej do Seklaka.
- Dlaczego piaszczystej?
- Bo w takiej ziemi najłatwiej wykopać głęboki dół. Piasek można też tak rozrzucić, aby pozostał jak najmniejszy ślad. Na glinie czy na czarnoziemie taki wykop byłby przez długi czas widoczny. Poza tym ciało pochowane w piasku rozkłada się stosunkowo szybko. Oba zabójcom także i o to chodziło.
- Waszemu rozumowaniu - pochwalił naczelnik wydziału - nie można niczego zarzucić.
- Jeżeli ciało uległo rozkładowi, to w jaki sposób kapitan je odnajdzie po bez mała siedemnastu latach?
- Czaszka i kości szkieletu powinny się zachować.
- Nawet umiejscowienie ewentualnego grobu na kawałku pola o wymiarach nie większych niż na przykład jeden  
60  
hektar nie będzie sprawą prostą - zauważył któryś z poruczników obecnych na odprawie.
- Przestępcy wykazali dotychczas sporo sprytu i dużo silnej woli. Nie załamali się w krzyżowym ogniu pytań. Ułożyli sobie wygodną dla nich wersję wypadków i trzymali się jej wiernie. Nie przypuszczam jednak, żeby byli aż tak przewidujący, aby pochować swoją ofiarę zupełnie naga. Może mu zabrali kozuch i te filcowe buty? A może chcąc się jak najprędzej uporać z tajnym pogrzebem wrzucili nieboszczyka do dołu w takim stanie, w jakim znajdował się w chwili śmierci? Tak czy inaczej, w tej mogile muszą się znajdować jakieś kawałki metalu. Choćby guziki, bilon czy zapalniczka.
- Dokumenty mu jednak zabrali.
- Przyznaję - potwierdził kapitan Majewski - że przestępcy byli na tyle sprytni, iż zrewidowali swoją ofiarę, a znalezione dokumenty później podrzucili w mieszkaniu



Adama Tupy, aby jeszcze bardziej zaciemnić sprawę. Ale czy odpruwali guziki od spodni lub marynarki, bardzo w to wątpię. Zwłoki na pewno uległy rozkładowi, ale metal musiał się oprzeć działaniu czasu. Zwykle żelazo mogło ulec korozji, ale na guziki czy sprzączki używa się raczej stali nierdzewnej lub poniklowanej, albo stopów miedzi.

- Co proponujecie? - zapytał naczelnik.

- Rozporządzamy obecnie znakomitą aparaturą. Nasze przyrządy wykryją niezawodnie gram metalu na głębokości kilku metrów. Zaopatrzyłem się w dokładne plany gruntów należących do Władysława Seklaka. Zaznaczyłem przypuszczalne miejsce grobu. Przeczeszemy naszą aparaturą cały ten kawałek ziemi i oznaczymy wszystkie punkty, gdzie przyrząd wykazuje obecność w ziemi choćby kawałka metalu.

- Tych miejsc może być bardzo dużo.

- To trudno. Będziemy kolejno każdy taki skrawek ziemi dokładnie badać.

Zacniemy od miejsc, gdzie aparat wykryje stosunkowo dużą ilość metalu. Jeśli trzeba, będziemy kopać i tam, gdzie aparatura wykaże tylko jego

61

ślad. Ale nie sędzę, żeby aż do tego doszło. Wydaje mi się, że znalezienie zwłok i ich identyfikacja przysporzy nam stosunkowo mało kłopotu.

- Kapitan jest urodzonym optymistą.

- Nie. Tylko nie wspomniałem wam o jednym. Adam Tupa, jak to ustaliła jego rodzina, miał wstawione sztuczne zęby. Własne stracił w jakiejś bójce. Ustaliliśmy, gdzie i kto te zęby wprawiał. Dentysta zawsze pozna swoją rękę, choćby dokumentacja protetyczna przepadła. Wiemy też, o które zęby tam chodziło. Co zaś do samego grobu, znajduje się on gdzieś na stumetrowym odcinku rzeczki Świętojańskiej Młynówki. Właśnie ten kawałek brzegu należy do Władysława Seklaka. Tam ziemia jest piaszczysta, a odległość od miejsca, gdzie prawdopodobnie Adama Tupę zabito, nie przekracza dwustu metrów. Od szosy ten kawałek pola zakryty jest rosnącymi dość gęsto krzakami. Tam przestępcom najłatwiej było przetransportować zwłoki tak, aby tego nikt nie zauważył.

- To kiedy rozpoczynacie poszukiwania? - zapytał naczelnik.

- Na tym polu rosną ziemniaki. Poczekamy, jak zostaną wykopane. Parę tygodni nie gra większej roli. A jeżeli tam się gdzieś płytko pod powierzchnią znajduje jakieś żelazo, wykopki ziemniaków wydobędą je na powierzchnię, co nam bardzo ułatwi pracę.

- Róbcie, kapitanie, co uważacie za celowe - zgodził się major.

62

## METALOWA SPRZĄCZKA OD PASA

Było już po wykopkach ziemniaków, kiedy nad Świętojańską Młynówką zjawiała się ekipa milicyjna. Na dojazdowej drodze stała wielka koparka, milicjanci zaś, wyposażeni w aparaty, metr po metrze badali grunt należący do Władysława Seklaka. Pojawienie się milicji i jej tajemnicze zachowanie się wzbudziło wielką sensację w całym Sępopolu. Nie brakło więc gapiów, których trzeba było usunąć aż poza drogę. Stamtąd mogli obserwować działanie milicjantów.

Ciekawe, że tylko jeden człowiek nie zainteresował się pracą ekipy śledczej.

Władysław Seklak, właściciel tego gruntu, nie zajrzał ani razu nad rzeczkę. To zresztą wcale nie zdziwiło kapitana Majewskiego, który kierował całą akcją.

Milicjanci posuwając się wzdłuż bruzd po wykopanych ziemniakach od czasu do czasu wbijali w ziemię małe, żółte chorągiewki. Wkrótce kilkanaście tych znaków, jak późne jesienne kwiaty, wykwitło na polu Seklaka. W kilku miejscach zatykano czerwone chorągiewki. Tam precyzyjna aparatura wskazywała jakąś większą koncentrację metalu.

W pewnym miejscu znajdowało się niewielkie zapadlisko. Czyżby tutaj ziemniaki były posadzone głębiej? Jednocześnie aparat sygnalizował obecność metalu. I to w większej ilości niż gdzie Indziej. W tym więc punkcie kapitan Majewski polecił rozpocząć kopanie.

Ciągnik „Ursus” z zamontowaną na nim koparką podjechał do zagłębienia. Metalowa łyżka koparki zanurzała się coraz głębiej w ziemię. Czekano w milczeniu. Dopiero kiedy wykop osiągnął prawie dwóch metrów przy kolej-

63

nym zagłębieniu łyżki w miękkim piasku, posypały się ludzkie kości.

Natychmiast przerwano kopanie. Ursus odjechał, zaś milicjanci malutkimi łopatkami ostrożnie odgarniali następne warstwy ziemi. Spod piasku ukazała się czaszka i reszta szkieletu. Znalaziono także szczątki odzieży męskiej. Trochę drobnego bilonu, metalowe guziki i przede wszystkim dużą sprzączkę od pasa.

Identyfikacja zwłok nie nastęrczała większych trudności. W górnej części szczęki zachowały się sztuczne zęby, o których wspominała rodzina Adama Topy. Także brat zabitego oraz jego kolega Stanisław Przybylak rozpoznali charakterystyczną sprzączkę od pasa jako własność Adama.

Teraz już prokurator rejonowy nie miał najmniejszych wątpliwości i oficjalnie wszczął śledztwo w sprawie zabójstwa Adama Topy. Wydał też postanowienie osadzenia, w areszcie tymczasowym podejrzanych o dokonanie tej zbrodni.

Władysława Seklaka zatrzymano od razu w Sępopolu, jego szwagra, Józefa Prostonosa, trzeba było sprowadzić z odległego Leżajska. Postawiono im zarzut dokonania wspólnie i w porozumieniu zabójstwa Adama Tupy.

Obaj podejrzani zastosowali poprzednią taktykę. Dużo i długo opowiadali o weselu i o tym, jak nagle w późny wieczór poleciały z okien szyby. Jak to wybiegli na dwór i usiłowali gonić napastnika, ale go nie dogonili. W żaden jednak sposób nie umieli wytłumaczyć, skąd się wzięły kości Adama dwa metry pod ziemią na gruncie należącym do Władysława Seklaka.

Przestępcy próbowali także zaprzeczać, żeby odkopany szkielet był tym, co pozostało po zaginionym Adamie Tupie. Twierdzili, że to szczątki jakiegoś żołnierza hitlerowskiego, poległego w czasie walk nad Młynówką i tam później pochowanego.

Ale dowody, jakimi teraz rozporządzało śledztwo, były bezsporne. Zakład Kryminalistyki określił, że szkielet przebywał w ziemi szesnaście do osiemnastu lat.

Lekarz dentysta nie tylko poznał wstawio-

64

ne przez siebie zęby, ale także odnalazł dokumentację uzupełniania ubytków w uzębieniu. Ta czaszka była czaszką Adama Tupy.

Nawet fakt, iż rodzina i znajomi poznawali sprzączkę od pasa jako bezsporną

własność zamordowanego, miał jedynie dodatkowe znaczenie.

Nikt inny nie mógł zabić Adama, jak tylko skłócona z nim rodzina jego byłej żony, podniecona chuligańskim wybrykiem, którego się Tupa dopuścił.

Sprawa więc była od momentu odnalezienia zwłok zupełnie jasna i prowadzący śledztwo kapitan Janusz Majewski wcale się nie przejmował milczeniem obu podejrzanych. Wiedział, że wkrótce zaczną mówić. Przyjdzie czas, kiedy pryśnie ich solidarność i każdy zacznie myśleć o ratowaniu swojej skóry.

Tak się też i stało.

65

### TRAGEDIA POD MŁYNÓWKĄ

Władysław Seklak załamał się pierwszy. Jego szwagier był recydywistą, wytrawnym przestępcą, umiał więc dłużej milczeć.

- Przysięgam - zaczął na kolejnym przesłuchaniu gospodarz z Sępopola - ja nie chciałem Adama zabić i ja go nie zabiłem.

- A kto?

- To on. Prostonos.

- Opowiedzcie dokładnie, jak to było.

- Jak już mówiłem w poprzednich zeznaniach, wyskoczyłem na dwór. Po drodze chwyciłem ze stołu nóż. Ale go nie użyłem. Przysięgam!

- Prostonos złapał cegłę?

- Tak. To on zabił Adama.

- Mówcie po kolei.

- Goniliśmy Adama. On uciekał najpierw szosą. Potem widocznie chciał się schować w krzakach, bo przeskoczył przez rów i wbiegł na pastwisko. Józek był szybszy ode mnie i on go dogonił. Zaczęli się szamotać. Ja także dobiegłem i pchnąłem Tupę. Przewrócił się, czapka spadła mu z głowy. Kiedy Adam usiłował się podnieść, Prostonos zamachnął się i trzymaną w ręku cegłą uderzył Tupę w głowę. Adam znów upadł.

- A wy nadal biliście i kopaliście leżącego. Władysław Seklak milczał.

- Tak było?

- Byliśmy pijani. Nie pamiętam.
- Przestaliście bić, kiedy zauważyliście, że on nie żyje?
- Myśmy tego nie wiedzieli - zaprotestował przesłuchiwany. - Ja go nie chciałem zabić, a dać mu dobrą naukę za jego wszystkie chuligańskie sprawki. Kiedy widziałem, że Adam się nie rusza, odciągnąłem od niego Józka, który ciągle bił leżącego. Odciągnąłem szwagra i wróciliśmy do domu.
- To wtedy zmienialiście koszule?
- Ja nie zmieniałem. Nie miałem na sobie śladów krwi. Ja go nie zabiłem. To Prostonos był okrwawiony aż po łokcie, bo bił cegłą. Dałem mu czystą koszulę, żeby mógł się przebrać. Noża także nie używałem. Może raz czy dwa uderzyłem Adama, ale go nie zabiłem - powtarzał Seklak.
- A leżącego także kopaliście?
- Nie pamiętam, byłem bardzo pijany.
- Tupę zostawiliście leżącego bez czucia na tym pastwisku?
- Wróciliśmy do domu. Myśleliśmy, że on tak tylko udaje.
- Co było po powrocie do domu?
- Naprawiłem okna i wesele trwało nadal.
- Znowu piliście?
- Ano piłem. Józek też.
- A tymczasem wasz były szwagier umierał na łące?
- Myśmy tego nie wiedzieli. Wróciliśmy go ratować.
- Kiedy?
- Po trzech godzinach.
- Adam tam ciągle leżał?
- Leżał. Kiedy zobaczyliśmy, że się nie rusza, chcieliśmy go ocucić.
- W jaki sposób?
- Zanieśliśmy go obydwaj do Młynówki i wsadziliśmy mu głowę w wodę. Ale nic nie pomogło. Nie ruszał się.
- Bójcie się Boga! - zawołał kapitan Majewski. - Jeżeli ten człowiek jeszcze żył, a był

tylko nieprzytomny, toście go zabili. Utopili!

- Ja nie wiem - tłumaczył się Seklak - byłem pijany. Józek mówił, że jak mu wsadzimy łeb do wody, to się obudzi. To on trzymał za głowę. Ja za nogi. Myśmy nie chcieli go zabić, tylko próbowaliśmy przyjść mu z pomocą, bo już nam złość odeszła.

66

67

- Kiedy to „cucenie” nie pomogło, coście zrobili z ciałem? - zapytał kapitan.

- Myśmy się bardzo przestraszyli, że Adam nie żyje. Więc Prostonos mówił, że trzeba na razie ciało gdzieś schować, żeby nikt nie zobaczył, a później wykopie się grób i pochowa tam Adama. Przeciągnęliśmy Tupę na moje pole, położyliśmy w bruździe i narzuciliśmy ziemi, żeby nic nie było widać. Jak się wesele skończyło, Józek wykopał głęboki dół na tym kartoflisku nad Młynówką. Tam zanieśliśmy Adama i tam go pochowaliśmy. Z Prostonosem umówiliśmy się jeszcze przedtem, że będziemy ludziom opowiadać, iż Adam nam uciekł i nie zdołaliśmy go dogonić.

- A ta cegła? Co się z nią stało?

- Na drugi dzień Józek zobaczył, że cegła leży na pastwisku, w tym miejscu, gdzie biliśmy Adama. Podniósł ją i wrzucił do rzeki.

Po siedemnastu latach nie można było ustalić co było bezpośrednim powodem, który doprowadził do zgonu Adama Tupy. Czy uderzenie cegłą, czy też jakieś obrażenia wewnętrzne wywołane uderzeniami i kopaniem leżącego, nieprzytomnego człowieka. A może dwaj pijacy po prostu utopili Tupę w Młynówce przy tym „cuceniu”, polegającym na wsadzeniu głowy ofiary do wody? Na czaszce nie znaleziono śladów pęknięcia i raczej „kuracja wodna” była bezpośrednim powodem śmierci. Ale równie dobrze mógł nastąpić wylew krwi do mózgu.

TO ON JEST WINIEN

Józef Prostonos szybko się zorientował, że szwagier całą winę zabójstwa chce zrzucić na męża swojej siostry. Postanowił także nie oszczędzać krewniaka. Oto jego wersja wypadków:

- Na odgłos wybijanych szyb Władek krzyknął: „to ten ...syn Adam”. Chwycił nóż ze stołu i wybiegł na dwór. Ja za nim. W drodze chwyciłem cegłę do ręki. Tam w

obejściu leżała ich cała sterta z rozebranej komórki. Z daleka widziałem uciekającego Tupę. My byliśmy w spodniach i koszulach, on w ciężkim kożuchu. Wyprzedziłem Władka i pierwszy dopadłem Adama. Złapałem go za kołnierz kożucha. Chciał mi się wyrwać.

- To było na szosie?

- Nie. On uciekł z szosy w stronę krzaków. Biegł przez pastwisko.

- Mówcie dalej.

- Kiedy ja się szamotałem z Adamem, nadbiegł Władek. Uderzył parę razy Tupę, któremu czapka spadła z głowy. Wtedy Władek zawołał: „Bij drania, cegłą w łeb. Zabić takiego syna”. Byłem pijany. Władek kazał, to uderzyłem. Ale tylko raz. Adam przewrócił się, zaś Seklak bił go, kopał i uderzał nożem. Potem Adam przestał się poruszać. Z trudem odciągnąłem go od Tupy.

- A skąd się wzięła krew na rękawach waszej koszuli?

- Kiedy szamotałem się z Adamem, Władek podbiegł i uderzył go w nos. Adam zaczął krwawić i powalał mi koszulę.

- Co było dalej?

- Kiedy udało mi się odciągnąć Władka od Adama, myślałem, że Tupa tylko udaje i dlatego się nie rusza. Wtedy poszliśmy do domu.

- Zostawiliście nieprzytomnego, umierającego człowieka na pastwisku?

- Byliśmy obaj pijani. Nie wiedzieliśmy, co robimy. Po powrocie do domu zmieniłem koszulę, ale bałem się, czy z Adamem nie stało się coś złego. Czy go Władek nie za mocno pobił? Mówię do Seklaka: „Trzeba zobaczyć, co się dzieje z twoim szwagrem”. Władek odpowiedział, że jak się Adamowi zrobi zimno, to wytrzeźwieje. Mnie to jednak nie uspokoiło i tak długo molestowałem Seklaka, aż wreszcie zgodził się i poszliśmy we dwóch na łąkę. Patrzymy, a Tupa leży w tym samym miejscu, gdzie go zostawiliśmy.

- Żył jeszcze?

- Nie wiem. Nie ruszał się. Mówię do Władka, że trzeba ratować człowieka. Na to Seklak: „Zanieśmy go do wody. Kiedy mu się głowę zmoczy, to wytrzeźwieje”. Jak szwagier kazał, tak zrobiliśmy. Nic to nie pomogło. Wtedy Seklak mówi: „Chyba nie

żyje. Nie można go tu nad rzeką zostawić, bo go zobaczą i wszystko się wyda. Musimy go zaciągnąć na moje pole i tam schować. A później trzeba go tak zakopać, żeby go do sądnego dnia nikt nie znalazł". Władek także mi powiedział, co mamy mówić, jeżeli będą się nas pytali o Adama Tupe. Odciągnęliśmy na pole Seklaka i tam w bruzdzie przykryliśmy ziemią. Na drugi dzień poszliśmy z Władkiem na kartoflisko i on mi pokazał, gdzie mam kopać. Pilnował, żeby wykopać dół najmniej na dwa metry głęboki. Kiedy już pochowaliśmy Adama, rozrzućiliśmy ziemię tak, aby z wierzchu nic nie było widać.

- Nie udało się jednak.

- Nie udało - smętnie przyznał Prostonos - milicja znalazła kości. Po tym wszystkim nie mogłem na Seklaka patrzeć. Kiedy ten porucznik przestał się nas czepiać, postanowiłem wyjechać z tych stron, żeby nie żyć w pobliżu tego zbója.

- A co z tą cegłą?

- Uderzyłem nią Adama, ale tylko raz - powtarzał Prostonos - szwagier kazał, a ja byłem pijany, więc go posłuchałem. Potem, na drugi dzień, cegłę wrzuciliśmy do rzeki. Grób także kopałem, bo Seklak kazał. Gdybym go nie usłuchał, mógłby mnie tak samo zabić, jak zabił Adama.

W czasie dalszego śledztwa, dla możliwie jak najwierniejszego ustalenia przebiegu tych tragicznych wypadków, przeprowadzono dwie konfrontacje obu podejrzanych. Nie dały one jednak większych rezultatów. Zarówno Władysław Seklak jak i Józef Prostonos przyjęli jednakową taktykę. Każdy z nich zwał główną winę na drugiego, sobie przypisując rolę pomocnika, działającego na rozkaz krewniaka. Obaj zabójcy stale podkreślali, że w czasie zbrodni i później, kiedy to w tak dziwny sposób próbowali cucić Adama Tupe, byli bardzo pijani i nie zdawali sobie sprawy z tego co robią.

Takie tłumaczenie nie na wiele się zdało zabójcom. Polski kodeks karny wyraźnie podkreśla, że działanie pod wpływem alkoholu jest okolicznością obciążającą, a nigdy nie przemawia na korzyść oskarżonego.

Zarówno milicja, jak i prokurator, pomimo zasadniczego wyjaśnienia historii zabójstwa mieli jeszcze sporo roboty, zanim doszło do procesu sądowego. Trzeba



było bowiem przeprowadzić wiele badań i analiz, ponownie przesłuchiwać kilkunastu świadków, zbadać obu oskarżonych pod względem psychicznym i dokonać wielu formalności prawnych.

Z tym wszystkim stosunkowo szybko się uporano i w 1978 roku obaj zabójcy stanęli przed Sądem Wojewódzkim w Olsztynie. Tam również żaden z nich nie przyznał się do zabójstwa, zwalając winę na drugiego. Sąd jednak uznał, że działali solidarnie i obaj ponoszą równą odpowiedzialność za zbrodnię zabójstwa. Wyrok nie był zbyt surowy. Sąd nie wziął wprawdzie pod uwagę lat, jakie upłynęły od dnia popełnienia przestępstwa do chwili, kiedy zabójcy stanęli przed obliczem sprawiedliwości, niemniej dopatrywał się innych okoliczności łagodzących. Wśród nich i tej, że całe to tragiczne zajście zostało przed tym sprowokowane chuligańskim wybrykiem przyszłej ofiary.

Tak więc dzięki uporowi i konsekwentnemu działaniu milicjantów, zbrodnia została wykryta po upływie przeszło

70

71

siedemnastu lat, kiedy to jej sprawcy byli całkowicie pewni bezkarności. A jednak stanęli przed sądem i ponieśli zasłużoną karę. Sprawiedliwości stało się zadość.

72

## ŚCIŚLE TAJNE

Pułkownik Adam Krzyżewski skończył swoją opowieść. Zewsząd posypały się podziękowania. Nasze panie były wprost zachwycone. Przystojny oficer milicji jeszcze bardziej zyskał w ich oczach. Niejeden z nas mógł mu zazdrościć.

Zaś pułkownik spojrzął na zegarek i stwierdził, że za pół godziny będzie kolacja.

Zauważył także, że deszcz wreszcie przestał padać i może jutro nareszcie zaświeci nad Zakopanem tak długo nie widziane tutaj słońce.

Inżynier Koryciński zaproponował po kolacji małego brydża. Naturalnie Miecio Ruszyński natychmiast wystąpił z kontrpropozycją, aby się wybrać do „Watry”.

Towarzystwo zaczęło się dzielić na dwa obozy. Jedni, zwłaszcza panie, byli za „Watrą”. Drugim bardziej się podobał walet karo.

Jednym słowem - ponury, tak nas prześladowający nastrój przysł, jakby nożem uciął. A to dzięki talentom gawędziarskim mojego wrocławskiego przyjaciela. Nasze małe pensjonatowe społeczeństwo otrząsnęło się z klęski deszczu i zaczynało żyć swoim normalnym, codziennym życiem.

Parę pań wyszło z salonu. Licząc na wyprawę do „Watry”, na wszelki wypadek wołały się przed kolacją przebrać i poprawić uczesanie.

Znany dziennikarz i literat, Aleksander Rowiński, posiadacz największych w Polsce ryżawych bokobrodów, pogłaskał swoje piękne baki i powiedział:

- A ja się nie zgadzam!

- Z czym się pan nie zgadza? - zdziwił się pułkownik Krzyżewski. - Czy z tym, że po przeszło siedemnastu latach postawiono zabójców przed sądem?

73

- Kodeks karny - wtrącił się Miecio - wyraźnie zakreśla granice przedawnienia.

Dopóki ta granica nie została przekroczona, sprawca zbrodni odpowiada za swoje czyny.

- Nie chodzi mi o przedawnienie - zaprzeczył Aleksander Rowiński prostując swoją potężną, metr dziewięćdziesiąt cztery centymetry mierzącą sylwetkę - nie zgadzam się z opinią pułkownika, że oficerowie milicji nie potrzebują reklamy i rozgłosu.

- Naturalnie, że nie potrzebują.

- Ja jednak uważam - upierał się dziennikarz - że każda zasługa musi być znana społeczeństwu, a nie ukrywana w wąskich kołach zawodowych. Dlatego nie podobało mi się, że w swoim opowiadaniu pułkownik zataił nazwiska tych oficerów milicji, którzy swoim uporem i swoją pracą przyczynili się do rozwiązania zagadki. Adam Krzyżewski uśmiechnął się.

- Dobrze, redaktorze, zdradzę państwu tę tajemnicę. Pod ścisłym sekretem. Niech to pozostanie wyłącznie pomiędzy nami. Zgoda?

Rowiński niezbyt zadowolony kręcił nosem, ale my wszyscy odkrzyknęliśmy gromko: - Zgoda!

- Jeszcze raz powtarzam, że to sekret... Pod moim kryptonimem „porucznik Kowalski” ukrywał się porucznik Bronisław Aleksiejczyk. Na pewno od tamtych dni

1961 roku porucznikowi przybyło nie tylko lat i doświadczenia, ale także gwiazdek i pasków na ramieniu.

- A ten drugi z Olsztyna? - Rowiński, jak zwykle, był niecierpliwy.

- To kierownik sekcji zabójstw w Wydziale Kryminalnym Wojewódzkiej Komendy MO w Olsztynie. Nie nazywa się „Majewski”, ale jest kapitanem Julianem Konojackim. Ale proszę was o niezdradzanie tej małej służbowej tajemnicy - zakończył pułkownik Adam Krzyżewski.

I my jej nie zdradzimy. Prawda?

KONIEC

SPIS TREŚCI

W deszczowe popołudnie Czarna owca Na wsi wesele Ostatnia droga Krew na rękach  
Nie ma ciała, nie ma sprawy Może oni go utopili? Wielka akcja Ryzykowna gra  
Dziwna pocztówka Pokonany, ale niezwyciężony Po piętnastu latach Metalowa  
sprzączka od pasa Tragedia pod Młynówką To on jest winien Ścisłe tajne

5 9 15 19 26 32 37 42 46 50 54 58 63 66 69 73

75

Noła redakcyjna

Wykaz książek Jerzego Edigeya

Powieść Jerzego Edigeya „Uparty milicjant” jest dziesiątą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą. Jednocześnie jest to pierwsze wydanie tego dzieła w formie książkowej. Do tej pory powieść znana była jedynie z druku prasowego w odcinkach. Publikowano ją na łamach „Głosu Pracy” w 1980 roku.

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail”
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux”
3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina”
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Czwarty klucz”
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy”
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Nieudany urlop majora Downara”

7. Anna Kłodzińska - „Królowa Nocy”
8. Anna Kłodzińska - „Jak śmierć jest cicha”
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Za dużo kobiet”

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona. Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

oraz na Forum Mordu

[www.klubmord.fora.pl](http://www.klubmord.fora.pl)

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki ([prezesik13@wp.pl](mailto:prezesik13@wp.pl)) prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

1. Czek dla białego gangu (1963) Klub Srebrnego Klucza
2. Mister MacArek i jego business (1964) Jamnik
3. Trzy płaskie klucze (1965) Jamnik
4. Sprawa Niteckiego (1966) Jamnik
5. Wagon pocztowy GM 38552 (1966) Klub Srebrnego Klucza
6. Baba-Jaga gubi trop (1967) Jamnik
7. Umrzesz jak mężczyzna (1967) Klub Srebrnego Klucza
8. Elżbieta odchodzi (1968) Tukan
9. Przy podniesionej kurtynie (1968) Jamnik
10. Szkielet bez palców (1968) Ewa wzywa 07...
11. Pensjonat na Strandvagen (1969) Tukan
12. Człowiek z bliźną (1970) Klub Srebrnego Klucza
13. Strzały na rozstajnych drogach (1970) Jamnik
14. Zbrodnia w południe (1970) Klub Srebrnego Klucza
15. Żółta koperta (1970) Tukan
16. Błękitny szafir (1971) Jamnik
17. Jedna noc w Carltonie (1971) Tukan
18. Minerva-Palace-Hotel (1972) Tukan

19. Testament samobójcy (1972)
20. Gang i dziewczyna (1973) Ewa wzywa 07...
21. Śmierć czeka przed oknem (1973) Klub Srebrnego Klucza
22. Śmierć jubilera (1973) Jamnik
23. Diabeł przychodzi nocą (1974) Ewa wzywa 07...
24. Szklanka czystej wody (1974) Jamnik
25. Najgorszy jest poniedziałek (1975) Klub Srebrnego Klucza
26. Strzał na dansingu (1975) Czerwona Okładka
27. Walizka z milionami (1975) Jamnik
28. Dwie twarze Krystyny (1976) Jamnik
29. Dzieje jednego pistoletu (1976) Czerwona okładka
30. Tajemnica starego kościółka (1976) Ewa wzywa 07...
31. As trefl (1978) Ewa wzywa 07...
32. Nagła śmierć kibica (1978) Jamnik
33. Sprawa dla jednego (1978) Czerwona Okładka

76

77

34. Alfabetyczny morderca (1981) Klub Srebrnego Klucza
35. Pomysł za siedem milionów (1982) Jamnik
36. Siedem papierosów „Maracho” (1982) Ewa wzywa 07...
37. Zdjęcie z profilu (1984) Tukan
38. Operacja „Wolfram” (1985) Tukan
39. Wycieczka ze Sztokholmu (1987) Tukan
40. Uparty milicjant (2010) Seria z Warszawą

Ksifzki wydawnictwa „Wielki Sen”

do nabycia na stronie internetowej

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

Pierwsza seta

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90. Staramy się

zainteresować Czytelników gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło spo-łeczno-obyczajowe, zaglądają do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

78

„Serią po kryminałach”

czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach: Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

„Tęczowy coctail” ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowąt-kowość fabuły, nagle zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

Kieliszek Bordeaux”

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, któż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu,

niejakiego Igora Ordon - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała szczęścia.

Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Czwarty klucz”

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania książkowego. Była publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedzeni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty „Czwartego klucza”.

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes i koledzy” jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Anna Kłodzińska

„Królowa nocy”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa nocy” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans. Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok. Gdy nadarzyła się ku temu okazja, poszedł w nią jak w dym. Miał jednak pecha. Rychło po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia. W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju...

Anna Kłodzińska

„Jak śmierć jest cicha”

!FHUKT BSBi

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Jak śmierć jest cicha” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca. Najpierw śmiertelne strzały padają na Dworcu Warszawa Główna. Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły. Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska. Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki. Czy coś łączy te trzy sytuacje? Kapitan Szczęsny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze...

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Za dużo kobiet”

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Za dużo kobiet” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1986. Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej i estradową szansonistkę, poza nagłą śmiercią? Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową. Na okrasę zaś cały tłum kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy. Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało. Sprostą każdemu wyzwaniu.

Wejdź na [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com) zgłoś akces do Klubu MOrd



WiiJiiiiifŁCiii

i kupuj następne książki w Serii z Warszawą po cenie klubowej